



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 27 kwietnia 1947 r.

Nr 17 (96)

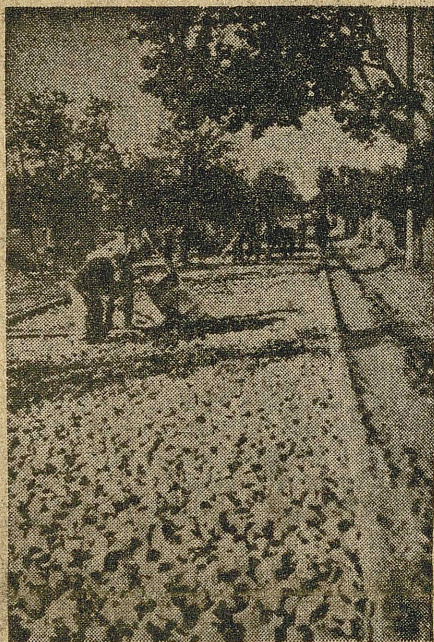
Jan Aleksander Król

MIT PARCELI

List otwarty do wojewody kieleckiego Wiślicza

Drogi Wiśliczu!

Obejrzałem Jasieniec. Przyznam Ci się, że byłem przekonany, że ta „wieś wzorowa” to Twój wojewodziński gest dla rodzinnej wsi. Wcale nie rzadkie pomieszczenie



Budowa szosy, łączącej Jasieniec ze Skarżyskiem i Łżą.

rzeczy: serce, ambicje i fundusze. Ale spokojnie! W rękach Bohdana Beldowskiego. Wiedziałem, że działa tu z Twojego ramienia. Również 16 lat temu zgubiliśmy się sobie z oczu. Miałem wówczas niespełna 16 lat. Był starszy o kilka lat ode mnie Absolwent seminarium nauczycielskiego. Rozumieliśmy się poprzez Żeromskiego. Mnie dopiero ogarniała egzaltacja Judyńców, on tkwił w niej już po uszy. Był uczniem starego Kuderny, który z Galicji z Nowego Sącza, przywiózł do Kielc ducha Towarzystwa Szkół Ludowych, roboty nauczycielskiej o filantropijnym zacięciu. I Bohdan, mieszczuch, poszedł dlatego ochotnie na wieś.

Ale ten Beldowski nie podobny jest do tamtego z przed lat. Przedstawił mi żonę, chłopka na gruncie, nauczycielka. Są dzieci. Zarzut mój przyjął. Oczywiście, mam rację: Wojewoda pomaga swojej wsi. Komuż bardziej chciałby pomóc? Popatrz! Wieś jest zelektryfikowana, w części zradiofonizowana, wykańcza się szosę, wielki gmach dwupiętrowy wyciągnięty pod strop, będzie tu szkoła powszechna i gimnazjum elektrotechniczne, powstał tartak, zakład mechaniczny, betoniarnia, baraki (na 100 osób — mogą być letniskowe), świetlica, piekarnia, ośrodek zdrowia. Dzieci 10-cioro w gimnazjach humanistycznych i zawodowych, pięcioro w szkole rzemiosła artystycznego, a do wojny nie wyszedł stąd i z najbliższych wsi ani jeden do gimnazjum. Sam Wiślicz, chłop na roli i robotnik na odkrywkach, samouctwem doszedł do egzaminu eksterna-nauczyciela, a ożenił się, mając lat 18-cie.

Ale myślisz się — mówił Bohdan — jeśli sądzisz, że Jasieniec jest „oczkiem w głowie” wojewody dlatego, że tego honor i ambicja wymagały a fundusze na to mu pozwalają. Patrz na mapę, potem pojedźmy, zobaczysz to „na oczy”. Niech Ci się zdaje przez chwilę, że nie ma Jasieńca. Co poza tym widzisz na mapie?

— Hm, co widzisz? Trójkąt. Od zachodu Skarżysko, od północy Łża (w dalszej perspektywie na lewo Radom, na prawo Lipsko, tzn. Powiśle). Od południa Wierzbnik i Starachowice. Linia Łża — Starachowice 28 km. Prostopadła od Skarżyska, do podstawy Łża — Starachowice, 28 km.

— Świetnie, a gdzie Jasieniec?

— Na prostopadłej do szosy Łża — Starachowice, tuż przy niej.

— Czy jest szosa od Skarżyska do linii Łża — Starachowice?

— No, przecież ją budujecie przez Jasieniec.

— Tak, bracie, Jasieniec zyska, ale tu nie o niego idzie, a o całą tę krainę, jakże dziwną. Tyś partyzant z Puszczy Świętokrzyskiej, która ma świetną legendę w kraju, ale nie ma puszczy. Puszcze są u nas, po 20 km marszu we wszystkie strony. Zachowały się pomiędzy tymi trzema punktami przemysłowymi: Radom, Skarżysko, Starachowice. A wiesz co te lasy kryją? Żelazo, żwir, glinę, wapień, no i drewno. Myślisz, że to wykorzystane? Nie! Trochę ruda, trochę drzewo. Ale szosy nie ma, kolejki nie ma. A patrz, poniżej Jasieńca szyby, powyżej żwirownia, która czeka na betoniarnię, a w Jasieńcu na skrzyżowaniu przemysłowych dróg — tartak. Na prawo od niego glina, i to jaka, kałarska, ceramiczna — cegielnia, już w przygotowaniu. Pod Łżą wapiennik. Musi tu powstać nowoczesna kopalnia. Czy wiesz, że Starachowice i Wierzbnik bardzo potrzebujące wapna, sprowadzają go ze Śląska? Że do Kielc przysyłały z Poznańskiego wapno? Jak Ci się to podoba? Masz tradycję: stare firmy kopalń i gotowe drogi żelazne choćby wiodły z Paryża. A tu o 20 km jest wapno, tylko rękę wyciągnąć. Tylko kolejkę z Wierzbnika poprowadzić do Łży, a zawadzi krótkimi odnogami o wszystkie tu bogactwa.

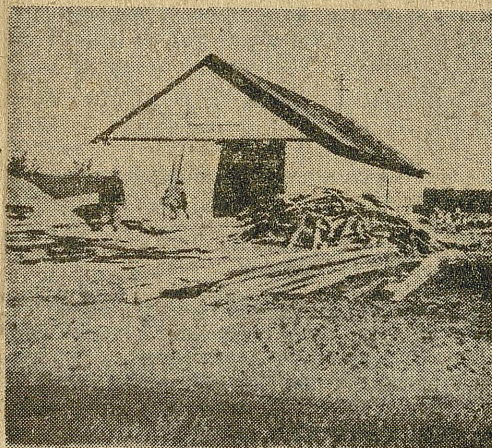
Te wsie rolniczymi, żal się Boże, stały się po karczunkach, w miarę ubywania lasów. Kiedyś przodkowie tych stąd byli smolarzami, bartnikami, myśliwcami. Tu dworów prawie nie było. Pierwsze „związki zawodowe” robotników, jeszcze w średniowieczu, to związki górników rudy. Wolni, leśni ludzie, później — wolni robotnicy. Jasieniec liczy 2000 ludzi, 300 rodzin (7 osób w rodzinie), na każdą przeciętnie wypada 4 morgi pola piaszczystego. Z czego żyją? Połowa pracuje w Łży, Skarżysku, w Wierzbniku, Starachowicach i na szbach rud. Chodzą codziennie do pracy i po kilkanaście kilometrów.

Szosa, którą budujemy, Skarżysko — Łża, w połączeniu z drogą Łża — Lipsko, stanowi oś powiatu i jest jedyną arterią komunikacyjną i tranzytową z zachodu na wschód aż do Wisły. Powiśle jest gołe, stąd ruszone drzewo, betonowy wibrowane (na domy) krawężniki, słupy elektryczno-betonowe, kostka systemu Tylińskiego, cegła, wapno — miałyby tam zbyt i niosłyby najtańszą odbudowę. Czy Jasieniec został w Twoich oczach dostatecznie wylegitymowany? Jeśli tak, to zwróć teraz uwagę na drugie zagadnienie.

Sam mi przed laty opowiadałeś, że w Twoich stronach pod Limanową górale-chłopi dorabiali w rafineriach nafty. A z czego żyje Krakowskie na karłowatych gospodarstwach? A tu, o 3 km od Kielc jak daje sobie radę Czarnocin? Nad nim skalista Karczówka ze starożytnym klasztorem, a pod nią chłopci na hektarze. To oni są robotnikami w hucie i fabrykach kieleckich. Tak wygląda prowincjonalna klasa robotnicza. Dlaczego o tym mówię? W Jasieńcu, podobnie jak w Czarnocinie, można obserwować dwa zjawiska: 1) chłopu poniżej 10 ha nie wystarcza do egzystencji samo rolnictwo, 2) jego uzupełnienie produkcyjne i ekonomiczne wiąże się z miastem, z przemysłem i techniką.

Drogi Wiśliczu, a wiesz, co twierdzi prof. Górski?*) Chłop pracuje rolniczo w ciągu roku 100 dni. Niezależnie zatem od wielkości gruntu, jest produktywny tylko w jednej trzeciej w stosunku do swych możliwości i potrzeb!

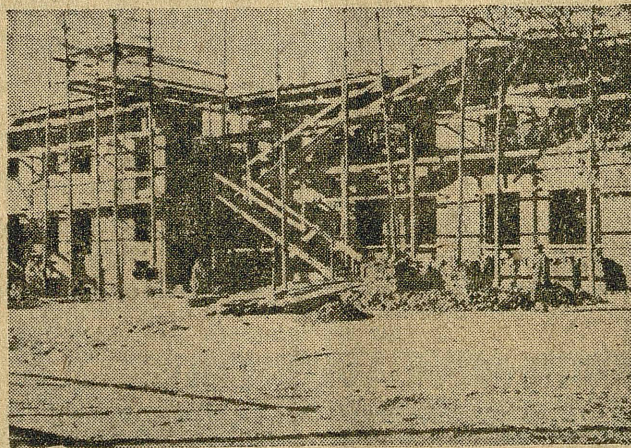
Rozumiem Bohdana, zwrócił uwagę na to, że w takim Jasieńcu została zwiększona ilościowo i rodzajowo praca rodziny chłopskiej. Bódcem stały się nędza i głód, to prawda, ale w ten sposób biedny chłop przełamał popańszczyźniany mit wsi, że „parcela jest chłopu ojczyzną”. A ten mit leży u podstaw Ruchu Ludowego, on dał początek Ruchowi. Jego symbolem przed pół wiekiem nie darmo były — sukmana i Bartosz Głowacki. Ożył wówczas Bartosz z popańszczyźnianą świadomością



Jasieniec — tartak.

wsi, jakby insurekcja rozegrała się dopiero wczoraj, choć ona „upadła” blisko wiek wcześniej. Dlaczego tak ożył? Dlatego, że w zniesieniu pańszczyzny wypełniło się to, co Manifest Polaniecki początkował: wolność ludu, jego dopuszczenie do narodu i

*) Rektor Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, prezes Instytutu Oświaty Rolniczej przy Z. S. Ch.



Gimnazjum elektrotechniczne i szkoła powszechna w budowie.

dzierżawną ziemię jemu na własność. Orły napoleońskie rozniosły prawa rewolucji francuskiej po Europie Zachodniej z większą skutecznością i w radykalniejszej postaci, niż to miało miejsce u nas, w reformach



Chłopka z Jasieńca w stroju odświętnym.

Konstytucji 3-go Maja i kościuszkowskim powstaniu. Te różnice odżyły również pod koniec 19-go wieku w chłopskim ruchu galicyjskim. Zastanawiające, że w tych latach, a nawet w pierwszych dziesięcioleciach 20-go w., żywa w pamięci rabacja galicyjska jest tylko źródłem postrachu i wstydu, że masowy bunt chłopski w Kongresówce z r. 1861 (170.000 chłopów występujących przeciw pańszczyźnie), nie urasta w legendę i składnik tradycji Ruchu Ludowego, że ksiądz Ściegienny nie przedstawia się za kordon w aureoli świętego ludu. Dlaczego? Dlatego, że zniesienie pańszczyzny, acz następuje u nas z opóźnieniem 50-ciu i 70-ciu lat, należy historycznie do tej europejskiej fali, jaka zmiołła feudalizm poprzez burżuazyjną rewolucję francuską. Natomiast rabacja galicyjska, Złota Książeczka Ks. Ściegiennego i bunt chłopski w Kongresówce należą już do okresu skutków tej rewolucji, mimo, że występują przed zniesieniem pańszczyzny. Kształtowała je nowa sytuacja Europy; rozwijanie się ulud co do ludowego charakteru rozwijającej się liberalno-bankierskiej demokracji, a w kraju rugi z ziemi, jakie coraz śpieszniej i liczniej przeprowadza dwór, który unowocześnia i rozszerza teraz swój folwark, kosztem ziemi chłopu, jego samego obracając w najemną siłę roboczą. Bunt chłopski i nauki w stylu ks. Ściegiennego ścierały się z nowymi już siłami społecznymi, w porównaniu z tymi, jakie obalała rewolucja francuska, dając ludowi wolność i ziemię.

Dlatego ruchy te sięgały poza uwłaszczenie, rozumiane jako opóźniony u nas przełom społeczno-gospodarczy, a spełniający to, co Europa przeżyła u świtu 19-go wieku.

Dlatego w 40 lat po zniesieniu pańszczyzny w Galicji, kiedy wyklarował się nowy ustrój społeczny i gospodarczy wsi, jego podstawa: rodzinna parcela chłopska, zostaje uświęcona bohaterskim radowodem od Kościuszki i Bartosza, nie zaś od Szeli, od 61, od ks. Ściegiennego. Parcela bowiem w stosunku do dworu była osiągnięciem na pewien czas gwarantującym nienaruszalność folwarku, a ks. Ściegienny głosił co innego, obalenie „panowania” możnych ze dworu i miasta. W stosunku do bezrolnych, do służby folwarczej, do ma-

rolnych parcella oznaczała zahamowanie ich ślepej, daleko idącej rewolucyjności, oznaczała zepchnięcie w dół we własnej wiejskiej hierarchii społecznej, a rabacja galicyjska i bunt z 61 r., parte były ambicją politycznego i społecznego podniesienia się całej wsi.

W „Pamiętnikach Chłopów” cytowane są wspomnienia dziadków. Mieli według tych relacji chłopcy w latach 70—80-tych nie trapić się o los dzieci, było bowiem dość ziemi na gospodarce, aby je obdzielić. Ale w tych relacjach więcej już jest właśnie mitu parceli, niż prawdy o rzeczywistości wiejskiej. Ukaz cesarski w Galicji, tak jak w Kongresówce, tylko części chłopów wrócił ziemię a i wśród tych, którzy ją otrzymali niskie nadziały stworzyły rynek najemnych rąk roboczych. O to szło właśnie w mieszczańskiej rewolucji francuskiej, to było również w 1848 i 64 roku zyskiem dla folwarków, dało bowiem dworom tanich robotników, jako wyrównanie za stratę poniesioną przez uwłaszczenie. Ale w Europie zachodniej w połowie wieku 19-go nowe siły najemne, jakie wyrzuciła wieś, zostały pochłonięte przez narodowe rynki uprzemysłowionej produkcji, ba, rosło zapotrzebowanie na obco-krajowe siły robocze. Tam rozwijający się konsekwentnie kapitalizm już, jak we Francji, po 48 roku, sprawę ludu przerzucił ze wsi do miasta, magazynem sił wyzyskiwanych stawać zaczęły się coraz wyraźniej fabryki, rynek industrialno-robotniczy. Sprawa ludu przeskakiwała się w nowoczesne zagadnienie.

A u nas? Do roku 1864 w Królestwie Kongresowym jedna trzecia chłopów była już bez ziemi. W rękach pańszczyźnianych i czynszowych oraz ludności miasteczko-wej znajdowało się około 7 milionów mórg. Ukaz carski dał nowych dwa miliony mórg, zatwierdzając dotąd użytkowane na wyłączone własność.

Stosunek w posiadaniu ziemi wyrażał się zatem: 9 milionów w rękach chłopów, do 12 milionów w rękach ziemian, 2/3 bezrolnych, obdzielono trzema morgami na rodzinę, przy czym, ci co w czworakach i ośmiorkach mieszkali, nie dostali nic, nadal „przymuszani do służby”. Do stali dopiero ci z dwójkami — najlichszy grunt. Kiedy w 1858 było osad o 3 morgowych gospodarstwach 55 tysięcy, w roku 1873 wzrosły do 205 tysięcy. Do lat 90-tych ilość rodzin poniżej 5 ha doszła do 55 proc. W następnych latach chłopcy wykupili z parcelacji około 2 miliony mórg, a równocześnie w r. 1904 Wł. Grabski stwierdza podniesienie się ludności bezrolnej spowrotem do jednej trzeciej. Ludność rolnicza od 1872 r. do 1904 wzrasta o 100 proc., a od r. 1860 do 1904 wzrost produkcji rolniczej podniósł się tylko o 1/5. W r. 1859 ordynaria wynosiła 10 i pół korca i 22 ruble — w r. 1897 również 10 i pół korca i tylko 24 ruble.

O jakże tragicznych zmaganiach świadczy ten krajobraz leżący? Okazuje się, że po 40 latach od zniesienia pańszczyzny mamy ponad 70% gospodarstw poniżej 5 ha, mamy jedną trzecią ludności bezrolnej (a to znaczy — dwa razy więcej rodzin niż w r. 1864) i mamy o 20% więcej ziemi w rękach chłopów. W czymże zatem znalazła się ona posiadaniu? Grabski wskazuje na tę grupę chłopów, która już przed r. 1864 stanowiła czynszowników w dobrach prywatnych i rządowych. Nazywa ją w r. 1904 „wyborem włościaństwa polskiego” — najzasobniejsi, najteżsi na bywocy gruntów na parcelacji i z odkupu, wielu z nich przechodziło do rządu właścicieli drobnych folwarków, miesza się z szlachecką szlachtą, w której posiadaniu był milion mórg ziemi.

Tak to właśnie rośnie na przestrzeni 40 lat mit parceli, ścisłej mówiąc dopiero od lat 90-tych, kiedy „wybór włościaństwa polskiego” stał na poważniejszy skup ziemi po okrasie drobnego rozszerzenia swych gospodarstw na drodze lichwiarskich pożyczek biedniejszym z prawem częściowego, a nierzadko całkowitego przejęcia ich ziemi za długi.

Co tu najbardziej zdumiewa? Oto u tych bezrolnych, a jest ich 3 miliony na 9 milionów w Królestwie — „jednak — jak stwierdza współcześnie Grabski — po dziewięćsetym roku — dążenia socjalne pozostają całkowicie w sferze pojęć włościaństwa rolnego i właściwy cel pracy to zdobyć środków na stworzenie własnego kąta”.

I to wówczas, kiedy komplet gospodarstw o obszarze, wystarczającym do egzystencji, znajduje się w rękach mniej niż 30% rodzin, kiedy cena za mórg rośnie zastraszająco. Przed uwłaszczeniem morga — 30 rubli, w roku 1900—100 rubli, 1910—150 rubli.

Jak rozumieć to opętanie magią parceli, kiedy folwarczni, którzy jeszcze w r. 1904 zarabiali rocznie: 11 korcy ordynarii i 20 rubli, po strajku powszechnym w 1905 r. uzyskują 14 korcy i 30 rubli, co równa się wówczas rocznej wytwórczości z 12 mórg ziemi?

Jest jedna tragiczna odpowiedź. Przypomniał ją w tych dniach Jan Kott w „Przedmowie do Lalki Prusa” („Kuźnica” Nr 13—16). Nasz „bohaterski” okres mieszczaństwa, spóźniony co najmniej o pół wieku trwał 30 lat i skończył się już przed rokiem 1900-nym. Czyż on zawierał historię? „Stanu trzeciego”, historię kupiectwa, od galanteryjnego sklepu do spółek handlowych, robiących obroty ze Wschodem. W te handlowe, nie przemysłowe, dzieje, wpisuje się i grubsze ziemiaństwo. „Wasze firmy — mówi książę w Lalce do Wokulskiego — są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów”...

Świadomość narodowa nie zaczyna się o podstawy w XIX, nawet nie o podstawy kapitalizmu. Przemysł pozostaje osobliwością zagraniczną. Przemysł finansuje obcy kapitał, prowadzi go cudzoziemcy. Przemysł rozrósł się dostatecznie, aby stać się zagadnieniem narodowym, był jednak za mały aby po przez klasę robotniczą narzucić się narodowi, aby na nim wymusić nowoczesne postawienie sprawy ludu.

Przemysł krajowy, w rękach cudzoziemców, nie pracuje na potrzeby kraju, uchodzi z niego. Handel polskiego mieszczaństwa obraca kapitałem ziemiaństwa, które przez czterdzieści lat nie podnosi płac robotnikom rolnym, a jego nowe handlowe dochody pochodzą z przerzucenia tego kapitału poza kraj. Towar i kapitał krajowy nie ożywiają życia gospodarczego na miej-

scu. Towar nie sięga do wsi, kapitał nie wprowadza wsi do industrialnej pracy, do nowego zarobku, do pieniądza. Kraju się nie inwestuje, kraj się nie ujednolica ekonomicznie. Wiad pozostaje stanem czwartym, Mieszczaństwo — stanem trzecim. A monopolistyczny kapitał obcy zajmuje kluczowe pozycje: surowce, banki, buduje centra przemysłowe. Nad krajem niewidzialna ręka pisze: „los półkolonii w Europie”. Ten stan rzeczy jest dziełem mieszczaństwa i ziemiaństwa. Przegrały szansę wejścia w nowoczesną, kapitalistyczną Europę. Skończyły się nadzieje na „podboje przemysłowo-handlowe”. Są jeszcze dochody, ale to już tylko renta, malejąca renta. Rozstrzyga o podbojach zagraniczny kapitał finansowy, który tu eksploatuje surowce i stawia przemysł — a czerpie inwestycje z rozwiniętej u siebie w ciągu stulecia produkcji i mnoży je w koloniach i półkoloniach. Kott pokazuje, jak w Lalce „zepchnięcie z pozycji” każe mieszczaństwu z nieubłaganą konsekwencją „widmo przyszłości” kreować na cel przyszłości. Mieszczaństwo i ziemiaństwo przegrane — spada w los kraju — półkolonii — tyle nam jeszcze zostało! I ta nowa tragiczna pozycja staje się teraz nową ideologią skrachowanych. Ostatnim rezerwuarem, który ma utrzymać bankrutów w ich postępującym upadku, pozostał jeszcze — lud. Tubylcy półkolonii. Na ich grzbiecie, przy ich małych potrzebach życiowych za ich darmową pracę da się jeszcze jakoś pomyślnie pociągnąć!

W. Blachowski

tlum. T. Chróścielewski

Pszenica pod Moskwą*)

„Wiadomo, że do wojny światowej siew pszenicy dawał w środkowych polaciach Rosji bardzo niske rezultaty, toteż chłopcy woleli siał żyto. Przyczyna leżała nie tylko w ciężkości gruntu, lecz przede wszystkim w tym, że nie mieliśmy gatunku, któryby mógł przetrzymać surowe zimy moskiewskie. W okresie rządów sowieckich selekcyonerzy wyhodowali kilka gatunków pszenicy nadających się do ostrego klimatu. W okręgu Lenin-gradzkim przyjęto za podstawowy ten „Moskiewska 2411”. Gatunek się jednak nie przyjął i siano to „biała pszenica” — „Albo zębun”. W środkowej Rosji obydwa gatunki zawiodły, pozostano przy życiu; niepowodzenie dręczyło rolników: Iwan Andrzejewicz nieraz zapytywał Teodora Wasylewicz Kulistę. Teodor Wasylewicz opowiadał mu wtedy o sukcesach selekcyonerów, o doświadczeniach Lyseńki i Cyocyna, wymieniał gatunki, które tu i tam dawały niezłe rezultaty, ale nie konkretnego nie umiał powiedzieć.

Wtedy Iwan Andrzejewicz zwrócił się do samego Lyseńki. Lyseńko zaś, ceniąc przenikliwość rozmówcy, uchylił się od natychmiastowej odpowiedzi:

— Poczekaj pan troszeczkę, Iwanie Andrzejewiczu, coś mi się widzi, że będę panu mógł niedługo służyć...

Jakoż po pewnym czasie przyszła oczekiwana z niecierpliwością wiadomość. Agronom wrócił podniecony.

— No, Iwanie Andrzejewiczu, Trofim Denisowicz wynalazł nowy gatunek, chce go wypróbować u nas. Wezwij no Tatianę Wasylewnę. Pół wieku już za plecami Tatiany Wasylewny: życie bogate w radości i niepowodzenia, w łyzy i sukcesy. Szybko wybiła się wśród pracowników rolnych i nie tylko dlatego, że robota wprost paliła jej się w rękach, lecz i w dużym stopniu dlatego, że umiała organizować pracę, a jej zapal udzielał się otoczeniu.

NOWY GATUNEK

Agronom mówił, że Lyseńko wyprowadził nowy gatunek pszenicy z istniejącej już tzw. „Eritrospermum”. Pierwszy otrzymał ją Instytut Selekcji w Odesie. — Przypicie, towarzysze, zdrowo się namozolił, zda mi się, mamy nareszcie, czegośmy szukali. — Robota nam nie straszna — odrzekła Tania. — Wstyd mi wam nie przyniesiemy.

Iwan Andrzejewicz skinął przytakująco.

— Wielki to zaszczyt dla nas przyswoić taką pszenicę.

— Nie ma tu co dłużej gadać. Dajcie szybko. W umysłach tych niezmiernie praktycznych ludzi zarysowały się już konkretne plany: jaki by tu szmat ziemi wybrać pod to ziarno, jaki nawóz, jak siał, co by tu skombinować przed zimą?

Przedsięwzięcie nie było takie proste, jakby to się na pierwszy rzut oka zdawało — do takiego wniosku doszła Tatiana, gdy wracała do chaty po długiej naradzie z kierownikami i agronomem. Prawie całą noc przesiedziała przy lampie z ołówkiem w ręku. Liczyła.

*) Fragmenty ze szkiców biograficznych pt. „Mistrzowie gospodarstw rolnych”, wyd. „Moskiewski Pracownik”, 1946 r.

— Dlaczego to lato pszenica zmarniała? Acha! Rozumie się nieodpowiednie ziarno, ale przecież, aby ożmiana zniósła zamarz, trzeba by ją przez jesień czysto pięknie wzmoć i niech na pędy wyda, okrzepnie i niech pójdzie pod śnieg jako run.

Gatunek to on tam może być i pierwszoklasny, ale gdy się jest bez niejkiego pojęcia, tedy można i pierwszoklasny zmarnować — tak sobie myślała Tatiana i wciąż liczyła.

Trzeba by nam zasiał na świeżym kartofliku. Musowo więc z kartoflami bystro się uwinąć, a do tego trza jarowizację. Acha, więc to jakoś z tej deski — zadecydowała Tania i postawiła w swoim notesiku kropkę.

(Teraz barwne opowiadanie o tym, jak się odbywała jarowizacja, jak to sobie Tania doskonalnie poradziła z niechętnymi „babami”. Jarowizację zaczęła około Wielkanocy, da kopania przystąpiła 20 czerwca, po zebraniu — natychmiastowa zaorywka, starannie przemyślana proporcja nawozów, wreszcie zasiew: ściśle rozmiarowa szerokość i głębokość brzozy, gęstość siewu itd. Tania wychudła od ciągłej harówki i niepokoju).

Przyszła zima, gdy zaczął sypać śnieg, pole już było jednogłównie zielone.

CO POKAZAŁA WIOSNA?

Śnieg tej zimy upadł pulchny, gesty i przykrył ożmyny ciepłym płaszczem. Próby czynione przez Tatianę wskazywały wyraźnie, że pszenica zimuje normalnie. Wreszcie powiały ciepłe wiatry, śnieg czerniał; Tatiana zaczęła przemyślać od czego by tu zacząć robotę w polu. Idąc za radą kierownika nie przeprowadzała wiosennego bronowania, ograniczyła się do pożywkii mineralnej. Ażby maczka wyniknęła dokładnie w glebę, trzeba było rozsiać ją natychmiast po roztopach. I oto na pszeniczne pole wstąpiła gromadka kobiet z siewnikami przewieszonymi przez ramie. Pierwsza szła Tatiana Wasylewna. Na wysokim, siwym niebie sześciobitły skowronki. Pożywka zawierała następujące składniki: 2 centnary superfosfatu, 1 centnar soli potasowej i 2 centnary saletry — na każdy hektar.

Kiedy powiało ciepłem, zboża zaczęły szybko rosnąć. Grubozłarnista, gęstozielona pszenica wypuściła tuście trawki. Wiosenny poczetunek był tak hojny, że na miedzach nie można było dojrzeć ziemi. Nawet nad żytem górowała gęstością i soczystszą zielenią.

— Widzi mi się, Tatiano Wasylewno, że natrafiliśmy na właściwy gatunek aa? — mówił jej przy spotkaniu kierownik...

Przyjeżdżali z daleka, zawistnie patrzyli na łan i chłopskim zwyczajem milczeli, aby czasem nie pochwalił sąsiada...

Gdy w pszenicy pojawił się osot i wilczomlecz, rzekła Tania pewnego wieczora do pomocnic:

— Jutro, babinki, skoro świt, musowo pszenicę plić.

Wyszły babinki w pole rano, bardzo rano, jeszcze z pół nocy zewleki się zmrok i tylko wysoko rozłożył się obłoczek, gdyż widział słońce.

A po onym dniu tak powiedziała Tania: — A teraz dziewczęta nie już nie trzeba robić aż do żniw.

W „Historii Towarzystwa Rolniczego” (Tom I str. 524) czytamy o sprawie uwłaszczenia z r. 1864: „choć nie dla wszystkich w owym czasie był widoczny (stan antagonyzmów społecznych) jednak stał się podświadomym wszystkich późniejszych wypadków”.

„Pamiętajmy — pisze Grabski w 1907 r., — że 40 lat temu zgutowaliśmy wielką klęskę narodową przez to, że się na szczerość wobec ludu nie zdobyliśmy”.

Uwłaszczenie zostało na dworach wymuszane. W ciągu następnych 40 lat ziemiaństwo i mieszczaństwo nie wprowadziło kraju w nowoczesną gospodarkę towarową. Nie przesunęło uwłaszczonych mało-rolnych i bezrolnych w rozwiniętą produkcję przemysłową. To było wynikiem zachowania przez ziemian folwarków, jako podstawy do dalszych „antagonizmów społecznych”. Teraz, około roku 1900, kiedy ścieli się przed krajem los półkolonii, antagonizm społeczny ubiera się w nową maskę, okazuje nową nieszczerość wobec ludu, choć tak ludzłą szczerością. Narodowe klasy posiadające szukają się do wzięcia w półkolonie. Stają twarzą do tubylców, do utrwalonego ghetta chłopskiego, do ziemi, ostatniej i jedynej wartości w dzikich krajach. I w takich to skrachowanych narodowo warunkach zaczyna się ludomania. „Chłop potęgą jest i basta!” Do twarzą mu pawie pióra! Cóż ta wiara w Boga, ziemię i lud wówczas oznacza? Odświeżają ją Wł. Grabski w „Materiałach w sprawie włościańskiej”. Jest to rok 1907. Rozumuje następująco:

1) „Ogólne uprzemysłowienie kraju i po-
step kultury materialnej i duchowej będzie wymagał stałego podnoszenia płac i warunków bytu robotników rolnych, ale rynek na to pozwalając nie będzie” (ten właśnie narodowy, nieutowarowiony rynek).

2) Skutek — „coraz więcej majątków pójdzie na parcelację, gdyż skala potrzeb włościanina — gospodarza zawsze mniej szybko rośnie od skali potrzeb robotników rolnych, a chwila gdy wehoda w okres uświadomienia” (po strajku folwarcznych z r. 1905).

3) Teraz obłudna troska o robotników rolnych, aby nie byli rugowani z folwarków wraz z ich parcelacją, trzeba, żeby nie z musu, a „dobrowolnie i świadomie zmienili swój byt robotników rolnych na inny”.

4) Na jaki? — aby „stali się samodzielni rolnikami — gospodarzami”? To za-
krawa więcej, niż na sztyderstwo. Około roku 1910? Kiedy — jak powtarzam — jedna trzecia wsi, to bezrolni, opłacalne gospodarstwa ponad 10 ha w ręku mniej niż 30%, cena 1 morga 150 rubli, a dwór zachęca folwarcznych do ułapienia się jednej, dwóch, trzech mórg, aby zastąpić ich nowym ze wsi kontyngentem robotników, którzy nie odważą się na strajk? którym będzie można obniżyć spowrotem pensję roczną z 30 rubli na 20, aby „nieruchomość Polski”, jaką na wsi podtrzymywali przez 40 lat przedłużyć i na jutro?

Droga do półkolonii została otwarta w latach 90-tych. Są folwarki i większe gospodarstwa „wyboru włościaństwa polskiego”. Oto wysokie szczeble w drabinie jedynej hierarchii społecznej i gospodarczej na wsi. Ziemia, tylko ziemia! Stan katastrofalny. W tej przestrzeni folwarczno-komorniczej jedynym ruchem jest spekulacja ziemią. Dwory trwają za cenę częściowej parcelacji. Krusza się folwarki. Bank włościański daje kredyt na kupno z parcelacji. Akeja sztuczna. Pomaga ziemiaństwu; bez tego kredytu nie byłoby parcelacji, nie byłoby dla dworów gotówki. Kredyt pomaga włościaństwu już posiadającemu, służy utrwaleniu już istniejących gospodarstw. Biedota czepia się morgi, dwóch, aby wkrótce odpaść, albo straszliwie wegetować.

Zaczyna się okres trwający do r. 1939, okres pożerania się wewnętrzznego wsi. W tym procesie samobójstwa narodowego trzyma się i wzmacnia „wybór włościaństwa”. Jemu jest pisane najpóźniejsze przeżycie na oczy.

On żyje na parceli! Wokół nędza i zaco-fanie opromienia go mitem parceli. Bezrolni, komornicy, nawet folwarczni „pozostają całkowicie w sferze pojęć włościaństwa rolnego”. Mit stanu czwartego, mit parceli kuje się również w górach narodowych. Robi to inteligencja. Jakież może być stanowisko wyborowych włościan? Mają pozycję ekonomiczną najlepszą na wsi — wyjątkową! Masy chłopskie zadroszczą, podziwiają i marzą o parceli. Inteligencja głosi pochwałę ludu, odrodzenie przez lud. Pochlebia zatem im, „wyborowym” i trzyma w „chocholim tańcu” pozostałą, większą część wsi. Oto dzieje półkolonii...

A teraz posłuchaj, jak było w Galicji...

Jan Aleksander Król
(o. d. n.)

W NARODZIE DRZEMIA UKRYTE SIŁY.
TWOJA POMOC DLA FBS WYZWOLI Z LUDU



Władysław Ozga

PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZA WSI *

Obok reformy rolnej, parcelacji wielkiej własności i związanego z nią zagadnienia upełnolnienia, na czoło osiągnięć gospodarczych wsi wysuwa się sprawa oddłużenia. Zgodnie z wynikami badań Instytutu Gospodarstwa Społecznego zadłużenie na 1 ha ziemi chłopskiej wynosiło przed wojną od 120 do 250 zł, przy czym od długów swych musiał płacić chłop często lichwiarskie procenty nie tylko w gotówzinie, ale również w postaci odróbki, w postaci zboża, paszy dla bydła, zastawu ziemi, a nawet nierzadko oddawał dzieci na służbę tytułem procentu od pożyczonych pieniędzy. W tej sytuacji właścicielem gospodarstwa był faktycznie bank albo wierzyciel prywatny, a nie chłop, który odrabiał pańszczyznę w nowej postaci na rzecz kapitału finansowego, na rzecz licznej rzeszy bezwzględnych wierzycieli, ciągnących swe niezaspokojone procenty bez żadnych skrupułów.

Ekonomiści obliczają, że roczne spłaty wsi w zakresie obsługi procentów i amortyzacji długów wynosiły w ostatnich latach przed wojną około jednego miliarda przedwojennych złotych. Zastosujmy tu mnożnik 150 o jakim się dziś mówi, a otrzymamy roczny haracz wsi równy 150 miliardów złotych. Dla uwypuklenia tego strasznego ciężaru przypomnę, że cały budżet bieżący państwowy na rok 1947 nie o wiele przewyższa 150 miliardów złotych.

Ciężar ten spadł ze wsi dzięki rozbiciu starego aparatu bankowego i dzięki likwidacji kapitału finansowego, który niezależnie od podatków nakładanych przez państwo, ciągnął ze wsi polskiej jej soki żywotne. Rozumiemy teraz dlaczego gdzieś tam na wsi dzielono zapalkę na dwoje, dlaczego w jednej wodzie słonej gotowano kilkakrotnie kartofle, a jedne buty służyły w zimie dla kilku osób w rodzinie chłopskiej.

W związku z przejęciem wielkich banków przez państwo ludowe, nastąpiło oddłużenie wsi, a przez to faktyczne przywrócenie własności, jakby nowe uwłaszczenie poważnej części mas chłopskich. Reforma rolna, osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych, oddłużenie zmieniły i zmieniać będą obraz gospodarzy wsi w odrodzonej Polsce Ludowej. Gdy uwzględnimy jeszcze u narodowanie wielkiego przemysłu i projektowany jego rozwój w ramach trzyletniego planu, co spowoduje wielki odpływ nadmiaru ludności rolnej do fabryk, to zrozumimy istotę dokonanej rewolucji na wsi, zrozumimy nowe oblicze gospodarcze wsi.

W nowym ustroju wsi polskiej, opartym na Manifestie Lipcowym PKWN i na dekretach i ustawach na jego podstawie wydanych, zjawia się szereg aktualnych zagadnień gospodarczych, które trzeba rozwiązać, aby nie zahamować postępu wsi i jej właściwego kierunku rozwojowego. Udział postępowego ruchu wiciowego w rozwiązywaniu tych zagadnień jest rzeczą nieodzowną i konieczną.

Na czoło wysuwa się tu sprawa postępu technicznego wsi. Żyje ona w wielkim zacofaniu pod tym względem. Maszyna nie zdobyła sobie jeszcze prawa obywatelstwa w gospodarstwie chłopskim. Źródłem siły są w nim jeszcze mięśnie człowieka. Ręczna kosa, cepy, motyka, zwykły pług, a nawet zwyczajny sierp są jeszcze na wsi podstawowymi narzędziami rolniczymi. Traktor, żniwiarka, wiązalka mechaniczna, młóckarnia, kopaczka, sztuczna wylęgarnia, czy mechaniczna dółka, czy nawet siewnik, tryjer lub konny kierat, nie mówiąc o motorze spalinowym i elektrycznym — to maszyny i narzędzia nieznane jeszcze na wsi. Brak maszyn w gospodarstwie rolnym czyni chłopów niewolnikami żmudnej pracy fizycznej, od świtu do nocy, upodabnia go do zwierzęcia, uniemożliwia poświęcenie chwili czasu potrzebom kulturalnym, czytelnictwu, uniemożliwia mu uczestnictwo w społecznym życiu gromady. Tu leży między innymi przyczyna, że chłopów mniej zamożnych, zaharowanych pracą fizyczną, bez użycia maszyn i nowoczesnych narzędzi widzimy zbyt mało na stanowiskach w zarządkach gminnych, spółdzielczości, w organizacjach zawodowych itp.

Wielkim krokiem naprzód w dziedzinie wyzwolenia duchowego człowieka wsi jest ułatwienie mu ciężkiej pracy fizycznej przez stosowanie udoskonalonych nowoczesnych maszyn rolniczych. Posiadam pod tym względem osobiste przeżycia i spostrzeżenia. Pochodzę z 15-morgowego gospodarstwa chłopskiego w kieleckim. Rodzice moi nie stosowali maszyn, nie stosuje ich jeszcze moja najbliższa rodzina. Dlatego też okresy pilnych robót rolnych skojarzyły

się u mnie ze znojną pracą w pocie czoła całej, choć licznej rodziny, pracą wyczerpującą ponad siły od świtu do nocy, po 18 godzin na dobę. Kontrastem tych wspomnień były przeżycia moje z okresu okupacji, kiedy to ścigany przez gestapo za działalność w Batalionach Chłopskich, zmuszony byłem ukrywać się i dość długo, choć z przerwami, przebywałem w 20-morgowego chłopą również członka B. Ch. w powiecie puławskim. W gospodarstwie jego zyskały sobie obywatelstwo maszyn: żniwiarka, młóckarnia, siewnik, kopaczka. Mimo krwawego terroru okupanta, mimo ciągłych łapanek, pacyfikacji, wywożenia do Niemiec, i do obozów śmierci, mimo nieugiętej walki z zniechęconym hitlerowskim najeźdźcą okres żniw był w tym ulepszonym technicznie gospodarstwie radosnym zbieraniem plonów, bez nadmiernego wysiłku i przemęczenia. Na pole wychodziło się rano o godz. 7 lub 7,30 po spokojnym spożyciu śniadania. Pamiętam jeden ranek żniwny, gdy to w ciągu 2,5 godzin zżęliśmy z gospodarzem przy pomocy żniwiarki hektar pszenicy i powróciliśmy około 10,30 do domu na drugie śniadanie, po którym czytaliśmy wspólnie prasę konspiracyjną i dyskutowaliśmy na temat sytuacji wojennej na frontach. Pogoda była piękna, dzień ułalny. Pracę podjęliśmy dopiero po obiedzie o godz. 15-tej. Nastąpiła zwózka pszenicy do stodoły i omiot na młóckarnię, poruszanej kieratem. Zajęcia nasze zakończyliśmy przed zachodem słońca, około godziny 20-tej, pogodni, niezmeżeni, zadowoleni z dokonanej pracy. Jakżeż obraz ten różnił się od wspomnień dziecka z okresu żniw, gdzie wszystko niemal wykonywało się ręcznie. W ten pogodny dzień lipcowy w okresie konspiracji przeciwhitlerowskiej zrozumiałem w całej pełni znaczenie i dobrodziejstwo zastosowania maszyn w pracy rolnika.

Być może, że to wspomnienie pogodnego dnia żniwnego, stanowiącego kontrast z ponurą rzeczywistością okupacyjną, wryło mi się głębiej w pamięć i z tego powodu, że następująca po dniu noc była ciężkim przeżyciem. Rozpoczęła się bowiem masowa pacyfikacja okolicy z udziałem kilku tysięcy żandarmów, SS-manów i wojska, w wyniku której wywieziono na Majdanek 500 mężczyzn — w tym kilkudziesięciu towarzyszy konspiracyjnych i przyjaciół, z których wielu już nie powróciło.

Przed postępowym ruchem chłopskim, przed wolną wiciową gromadą stoi dziś poważne zadanie, zadanie uzbrojenia technicznego wsi. Jak najdalej posunięta mechanizacja wszystkich faz pracy rolnika od orki, aż do zmagazynowania roślin i zbóż, jak również czynności hodowlanych, musi być naszym celem. Traktor, motor spalinowy, motor elektryczny, mechaniczna dółka, pług motorowy, siewnik, kultywator, nowoczesna młóckarnia, wylęgarnia, narzędzia do przygotowania pasz itd. — muszą znaleźć sobie prawo obywatelstwa w gospodarstwie średnio i drobnorolnego chłopca. Z pomocą przyjdą tu społeczne sposoby użytkowania droższych maszyn przede wszystkim poprzez Związek Samopomocy Chłopskiej. Oczywiście przeszkody na tej drodze będą duże. Zaczyna nam różni ideologowie z pod znaku agraryzmu mówić o technokracji, czule a poetycznie wzdychać do „Polski oraczy”, powtarzać dawno przebrzmiałe hasła Rousseau o zgubnym wpływie cywilizacji na człowieka, o konieczności „powrotu do natury”, deklamować z patosem zaczerpnięte z romantyzmu polskiego słowa o „wolnych twórcach chleba”. Reakcja wykorzysta tu zaraz szerszoną przez siebie panikę „kołchozową”.

W walce o postęp techniczny w rolnictwie napotykamy na duże trudności ze względu na ograniczone nasze aktualne możliwości. Wydaje się marzytelstwem mówić dziś o elektrycznym pługu w gospodarstwie chłopskim, gdy z powodu braku konia i uprząży szarżuje tu i ówdzie ugorry w Polsce, gdy możliwości produkcyjne maszyn rolniczych są jeszcze u nas małe, a wykształcenie techniczne wsi zbyt niskie. Jesteśmy jednak ruchem wybiegającym na przód, pragnącym zrealizować lepsze jutro chłopca, dlatego też zagadnienia te musimy wysunąć na czoło gospodarczych zadań wsi, musimy dopilnować by przewidziane w 3-letnim planie gospodarczym uzbrojenie techniczne wsi zostało zrealizowane z należytą, a w przyszłym narodowym planie gospodarczym znalazło swój pełny wyraz.

W ścisłej łączności z zagadnieniem technizacji gospodarstw chłopskich stoi intensyfikacja tych gospodarstw. Gruntowna i oparta na przesłankach naukowych uprawa roli, stosowanie w jak najszerszym zakresie nawozów sztucznych, odpowiedniego płodozmianu, racjonalna hodowla, to podstawy intensyfikacji. Wiąże się z tym zagadnienie melioracji i komasacji. Konieczne będzie tu dokształcanie się chłopca w dziedzinie rolnictwa i hodowli. Poważną rolę spełnia tu przysposobienie rolnicze. Wieś musi zrozumieć, że rolnictwa trzeba się uczyć, że nie jest to zawód łatwy. Samokształcenie indywidualne i zespołowe może odegrać tu poważną rolę. Najpełniejszym wyrazem intensyfikacji gospodarstw rolnych winna być specjalizacja tak w dziedzinie uprawy roślin, jak też i w hodowli. Chodzi o to, by chłop przeszedł od tradycyjnych i mało dochodowych upraw do takich, które najbardziej odpowiadają warunkom klimatycznym, warunkom gleby, możliwości powiązania się z przemysłem na danym terenie. Zaczątkiem tego rodzaju specjalizacji jest np. uprawa buraków cukrowych w okolicach przylegających do cukrowni, uprawa tytoniu, warzywnictwo podmiejskie, uprawa tu i ówdzie ziół leczniczych, lnu, roślin oleistych itp.

Chłopskie organizacje zawodowe, spółdzielnie i oświatowo-kulturalne winny przyczynić się do wykorzystania tych nowych możliwości polskiego rolnictwa. I na tym odcinku wypadnie nam walczyć z „kompleksem kołchozowym”.

Ważną sprawą na najbliższą i dalszą przyszłość jest rozwój przemysłu rolnego i powiązania go z uprawą roślin i hodowlą.

Do podniesienia się opłacalności rolnictwa, oraz wyzyskania rąk robotniczych do pracy w okresach wolniejszych od robót rolnych, przyczynić się może rozwój takich zakładów przemysłowych, jak: krochmalnie, gorzelnie, młyny, tartaki, przetwórstwo owoców, suszarnie owoców, wulkanizacja itp. Wdzięczne pole ma tu spółdzielczość chłopska, a w szczególności Związek Samopomocy Chłopskiej.

Przez uzbrojenie techniczne wsi, przez rozwój przemysłu, pragniemy zmienić Polskę z kraju rolniczego na rolniczo-przemysłowy. Pracę chłopca pragniemy ułatwić i upodobić do pracy wykwalifikowanego rzemieślnika, robotnika fabrycznego i inteligenta. Będzie to najlepszy sposób przeciwdziałania ucieczce ze wsi do miast. Przez rozwój przemysłu rolnego i przemysłu ubocznego pragniemy wzbogacić wieś i wyzyskać nadmiar sił robotniczych w okresach mniejszego nasilenia robót rolnych.

Stojąc na stanowisku indywidualnej, drobnej własności rolnej, musimy zwrócić uwagę na istniejący zakaz prawny rozdrabniania gospodarstw. Przeciwdziałając rozdrabnianiu będzie uprzemysłowienie kraju i zmiana jego struktury gospodarczej, z rolniczej, czy rolniczo-przemysłowej na przemysłowo-rolną, co znalazło swój wyraz w narodowym planie trzyletnim. Uprzemysłowanie kraju będzie u nas nierozdzielnie związane z odpływem nadmiaru ludności wiejskiej do fabryk, co z kolei przeciwdziałać będzie rozdrobnieniu gospodarstw.

Odbudowa przemysłu, powrót do Macierzy ziem zachodnich, osadnictwo i zagospodarowanie tych ziem spowodowały, że znikła u nas raz na zawsze, obrażająca naszą godność narodową emigracja, połączone z pracą polskiego chłopca i robotnika dla obcych i wrogich nam narodów. Jesteśmy obecnie świadkami zjawiska odwrotnego: powrotu naszych rodaków do Ojczyzny, braci naszych, dla których Druga Rzeczpospolita okazała się nie matką, lecz macochą, którą trzeba było dla nędznego zarobku opuścić.

Nasza struktura gospodarcza odbiega jeszcze znacznie od zachodnio-europejskiej, nawet od struktury tzw. krajów rolniczych, bo gdy w Polsce wypadła mniej więcej trzecich rolników na jednego nierolnika, to w rolniczej Danii jeden rolnik wypada na trzech nierolników, a w Szwajcarii jeden rolnik na czterech nierolników. Stosunek ten daje w wyniku nędzę naszej wsi, a przysłówowy dobrobyt wsi duńskiej. Zatem rozwój przemysłu w kraju typowo rolniczym leży w interesie przede wszystkim samego rolnictwa i dlatego my radykalni ludowcy jesteśmy zwolennikami industrializacji, zwolennikami wsi rolniczo-przemysłowej.

Wiąże się to ściśle ze zwiększeniem chłonności rynku miejskiego na chłopskie artykuły spożywcze, co podnosi dobrobyt wsi. Dobrobyt chłopca powiększa znowu spożycie artykułów przemysłowych na terenie wiejskim, otwiera poważny ruch zbytu na te artykuły. W dążności do podniesienia gospodarczego i cywilizacyjnego wsi, oraz do podniesienia kultury życia codziennego ważną rolę odegra elektryfikacja. Jest ona doniosłym wynikiem likwidacji zacofania wsi. Na tym polu mamy już pewne osiągnięcia. W wizji przyszłości wsi zagadnienie energetyki należy również wysunąć jako czołowe zadanie Polski Ludowej, zmierzającej do wyrównania kulturalnego między wsią i miastem. Światło elektryczne, żelazko, piecyk, czy kuchonka elektryczna muszą być zwyczajną rzeczą w rodzinie chłopskiej.

W zakresie budownictwa wieś musi skończyć z romantyczną chatą, krytą słomianą strzechą. Musimy stworzyć nowy typ pomieszczenia rodzinnego kilku izbowego z miejscem do odpoczynku, do kąpieli. Słomianą strzechę trzeba zastąpić blachą lub dachówką. Zabudowania gospodarcze winny być ogniotrwałe, nowoczesne i dostosowane do nowych technicznych urządzeń. Nie obawiamy się zarzutu bezpłodnego marzycielstwa, gdy wysuniemy we wsi zagadnienie kanalizacji. Nie jest niedościgłym marzeniem zagroda wiejska z miejscową kanalizacją z zastosowaniem motorka elektrycznego do tłoczenia wody.

Zagadnienie budownictwa stoi przed wsią jako problem do rozwiązania. Według obliczeń fachowców średnio co piąta zagroda w Polsce uległa mniejszemu lub większemu zniszczeniu. Dlatego konieczna jest tu pomoc zarówno ze skarbu państwa, jak też i zastosowanie samopomocowych sposobów gromad wiejskich. Należało by wykorzystywać zmodyfikowane odpowiednio metody spółdzielczości budowlanej z miast. Spółdzielczość budowlana na wsi winna położyć nacisk przede wszystkim na zorganizowanie wytwórczości materiałów budowlanych, jak cegła, stolarka, betony itp. W nowych warunkach w jakich się wieś znalazła na skutek parcelacji, komasacji i osadnictwa, potrzeby budowlane są ogromne i w najbliższym dziesięcioleciu trzeba będzie wielkiego wysiłku tak ze strony państwa, jak i społeczności wiejskiej, by potrzeby te zaspokoić. I na tym odcinku ma poważną rolę do spełnienia ZSC.

Zagadnienie komunikacji w osiedlach wiejskich jest do dziś sprawą otwartą. Musimy pobrać wiele kilometrów dróg bitych, a istniejące uporządkować. Trzeba zagęścić sieć linii kolejowych, doprowadzić do ośrodków wiejskich w głąb kraju kolejki elektryczne i linie autobusowe, by zbliżyć wieś do miasta i przyspieszyć zrównanie poziomu kulturalnego w całym narodzie, zbratać chłopca z robotnikiem.

Odrębną grupę zagadnień gospodarczych wsi stanowi spółdzielczość. Sytuacja spółdzielczości na wsi w Polsce o ustroju demokracji ludowej jest bez porównania lepsza niż w okresie przedwojennym. W Polsce przedwrześniowej spółdzielczość wiejska rozwijała się w warunkach wybitnie niesprzyjających, w morzu gospodarki kapitalistycznej. Musiała się kształtować na podstawie „wolnej gry sił”, a siły były nierówne.

Dziś spółdzielczość ma jasno określone miejsce w życiu społeczno-gospodarczym i dogodne pole do startu. Świadczy o tym rozwój spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”. Spółdzielczość na wsi stanowi potężny czynnik wzmacniający indywidualną gospodarkę chłopską. Tylko dzięki spółdzielczości drobno i średniorolny chłop może stać się dysponentem nowoczesnych środków technicznych dla celów rolniczych. Spółdzielczość spleta w dzisiejszej rzeczywistości wieś z elementami gospodarki społecznej.

Zasięg spółdzielczości na wsi powinien być jak największy, winna ona objąć niemal wszystkie dziedziny życia wsi: wymianę towarową, przemysł rolny, przetwórstwo owoców i warzyw, przemysł chałupniczy, potrzeby budowlane i wreszcie oświatowo-kulturalne.

Aparat spółdzielczy na wsi wymaga przeorganizowania w większe jednostki gospodarcze, które stanowią będą główne kanały dla przepływu artykułów przemysłowych z miasta na wieś, a produktów gospodarki rolnej ze wsi do miasta.

Mówiąc o spółdzielczości należy tu podkreślić, że interes tej formy społecznej działalności gospodarczej wymaga, aby spletała się ona z tymi siłami społeczno-politycznymi, które są najbardziej postępowe, najbardziej związane z gasnącym światem.

* Fragment referatu wygłoszonego na zjeździe nauczycieli - wiciowców w Warszawie, dn. 18.IV. br.



HITLER NIE ŻYJE! Berlin wzięty! Przebąkiwania o kapitulacji! To wszystko tak nas stopniowo zaskakiwało, żeśmy po prostu głupieli. Ja Pietrek Borowik, kuczer od 5 lat u bauera Rackego, dziś tak mi się widzi, że jestem w sieni do raju. Jest 8 maja, dochodzi południe, grzmi dokoła jak sto tysięcy pierunów, czuć, że lada chwila coś się stanie. Bauer mój, chociaż mi ta wielka zgrzyta nie zrobiła, ma minę wisielca a jego połowica wygląda jak zbotazona suka. Jest tutaj ze mną jeszcze jeden krajan i Francuz André, ale obaj też złym okiem na bauera nie patrzą. Niemiec od samego początku nie bardzo lubił Hitlera chwalić, tylko że psiajucha skąpa okrutnie, za feniga capę do Berlina by gonił. Ale cóż robić, Niemcy takie wszystkie: i te co Hitlera chwala, i te drugie. Myślę se, że mój bauer smuci się przez to, że lada chwila sam będzie musiał koło swych morgów chodzić: jak pójdziemy od niego, robotnika nie dostanie łatwo.

Ej, czuję, czuję, że dziś się coś stanie. Boże mój kochany, wnet do Polski pojedziemy! Podobno Niemcy poddali się Amerykanom, tylko jeszcze z Rusami nie chcą się dogadać... A może to wszystko nie prawda? może to jakiś hitlerowski okrutny wybieg? bajki... to skądże te huk i detonacje, ciągle się zdaje człękowi, że się niemieckim niewolnikiem urodził i takim zdechnie... aż wstyd, doprawdy... kapitulacja...nie do wiary, jednak słowo to jest dzisiaj najpiękniejszą piosenką, jaką nuci sobie od rana na różną nutę jakie się we wsi od dziecka uczyłem. Kopię zawzięcie ziemię, aby nie myśleć i rozbijam grudy rydłem, a ciągle mi się zdaje, że to nie pacyny wałę, a niemieckie łby: bauera, bauerkę; ciągle przed oczami miast grud widzę dzisiaj łby gestapowców i esesowców... Przewracam grudę za grudą, a tyle ich jest! Wałę tak, żeby mi pasowało razem z uderzeniami serca, co się w mej piersi strasznie dzisiaj łomocze... Idzie w moją stronę Hata, trzyletnia córka bauera. Podchodzi dzisiaj bojaźliwie, chociaż żyjemy zawsze w zgodzie. Co mi ta dziecko winno, kiedy i bauer umie ze mną żyć? że niemieckie? co mi do tego... Niemiec dla mnie, to taki Niemiec, co ludzi morduje. Mój bauer nie męczy mnie: fajerant mam u niego już o 9, a inni po bauerach muszą robić do 11, niedzielami nie robię, a u innych, chłopcy mają święto dopiero o 2 po południu: robię jak chcę, a on do roboty nie goni. No i „P” tylko niedzielami noszę. Mało takich Niemców, ale mój akurat fajny jest... czemu się mnie więc boi mała Hata? Często bawię się z tymi ciaraciami i bauer też nic nie pyskuje, tak jak inni wrzeszczą na swoje bachory, żeby z Polakami się nie zadawały i uczyć żeśmy bandyty. Choć mi też bauer nic nie winien, ale lubię strasznie uczyć Hatę różnych słów i mam czasem dużo uciechy, kiedy Hata podejście do swego fratra i powie: vater du bist škop! Vater, ty niemiecka winia! Vater, ty tupa... Co by ją dziś nauczyć? Staje przede mną Hata, ma patyczek w dłoni, wierci nim przede mną i pyta się:

— Peter, was ist das tupa?
— To jest po naszymu niemiecka gemba.
— Was ist das nemicka gemba?
— Już ci mówiłem... idź do taty i powiedz tak: Vater, du bist buc!
— Ich weis doch was ist Putz... mein Hüttlein auch hat Putz...
— Co ci się plecie... to co innego...
— Jak tam polaczku, jeszcze pracujesz? Rzucaj wszystko, kapitulacja człowiecze.

Jestem nachylony nad Hata i aż boję się głowy podnieść, by się przekonać kto to do mnie mówi... jak z nieba spadły na mnie te słowa... to ktoś z Czechów, poznaję, bo nie wychodzi mu to jak naszym... ach, już wiem kto to: Złizek; stary donosiciel wiadomości z londyńskiego radio...

Serce mi się coraz okropniej tłucze, mózg, jakby się gotował na marmeladę. Za dużo, za dużo, jak na jeden dzień... Czuję jakie też mogą mieć w tej chwili oczy, jaka też u mnie twarz... drzę cały, aż Czech podchodzi bliżej i powtarza to samo co już był powiedział... W tej chwili i koledzy Francuza zjawiają się, coś po swojemu szwargoczą i ciągle słychać „kapitulacion, kapitulacion”... chyba to prawda... Idzie do mnie André...

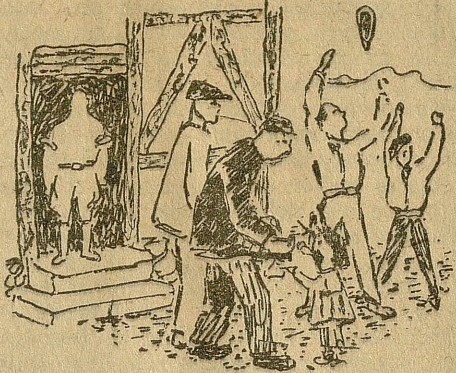
— Is fort... krik szon fertik... ales nyšt arbajt... bosz ganc kapitulacion... bosz kaput! liberte, egalite, fraternite! — wrzeszczy i czapkę rzuca w powietrze. Podchodzi na ten moment i bauer. Was ist denn dass? pyta się, ale takim głosem, jakby był nam co winien... jakbyśmy mu mieli głowę urządzić... boi się, chociaż wie, że mu nic od nas nie grozi.

Widać z jego pyska, że teraz nie bardzo mu się podoba, że Hitler przegrał i szlak go trafil... Jak tam za Hitlera było to było, ale zawsze to był swój fuehrer a nie obcy,

Czesław Schabowski

RANEK

taki kiedy zechce to da wnyki i tyła, a i za te różne zniszczone Warszawy, przecież



będzie bulił i taki co z Hitlerem był w stanie, i taki co mu się przeciwiał... Ej, rozumiem, że mu się nie podoba... Stracił głowę i idzie gdzieś... do stuby... przy radio kręci, chce się coś więcej dowiedzieć... ale ze stuby dochodzi coś co mu się na pewno nie podoba: „Halo, halo, Praha wojuje za swoją swobodu!” Podchwytuje to Hata, zrywa się i biegnie w stronę matki wrzeszcząca aż się Niemcy ogłupiają: „Alo, alo Plaha fobodu!” A dalej, podskakując na jednej nodze jak to zwykle dziecko lubi czynić, powtarza słowa Andrego „Klik feltik klik feltik! bo szkaput! bo szkaput! nyštal-bajt, nyštal-bajt!”

Ach, pewnie to ona mojej żonie do stodoły zaniosła, bo, już Maryśka leci.

— Prawda to, co ta mała wygaduje? pyta się mnie. Nie mówię nic, bo mi bauer przeszkadza: wyszedł w tej chwili z izby.

— Peter, Achtung, Niemcy skapitulowały na rzecz aliantów, ale z bolszewikami bijemy się dalej... no i praca idzie u mnie normalnie...

Co mu się stało? jaki to groźny się robi, a tak czasem na Hitlera wygadują i z Czechami był w komitywie... I Czech też patrzy dziwnie na Niemca odmieńca, ale rozłożył się i syknął: — Nie słuchaj go człowiecze bo on już głupi bankrut! Rzucaj robotę!

— Dupi banlut — powtarza Hata.
— Co robimy, Pietruś — pyta się moja żona.

— Liberte, egalite, fraternite — wrzeszcza Francuzi.

— Ibete, fatenite idalite: powtarza znów Hata, zawsze przyrzeczajona, aby jakieś nowe słowo podchwycić i pochwalić się.

— Idziemy Maryś, mówię do baby, bo widzę, że Niemiec nasz się odmiennie... jak przedtem, to mu się wojna nie podobała, a teraz widać że żaluje, że się skończyła...

Już Władka, mego krajana nie ma, już Czech poszedł sobie i Francuzi, więc i my walimy do naszego pokoiku na górę, łapiemy co się da i już wiemy do lasu, bo piekło przerażające rozpętało się wokół nie na żarty, wszędzie huk i detonacje, naloty co chwilę: pożary, dymy, wojna: o kapitulacji ani słychu. Ale to nic: wolność idzie! Tylko, że nas przeraża myśl, że tuż u jej progu może z nami być źle bardzo... A tak pragnęliśmy zobaczyć jeszcze naszą kochaną wioskę ojców i kościołek... staw i pastwisko, Boże mój jedyny, toć się tyle lat tęskni do tego!

— Psiakrew, jakieś wariaty nie poddają się i pewnie będą się tutaj bić... mówi do mnie żona...

— Widzisz, Maryś, to jest takie „wszystko mi jedno” osaczonego zbroja. Ale to nic, idziemy w stronę ognia, idziemy do lasu... w lesie zawsze w takich chwilach można się przydać lepiej niż tutaj, nie?

W tej chwili zaczęła się tak straszna strzelanina, warkot motorów i huk, że już pewnie do Hajdy przenoszą się walki...

Tadeusz Kajkowski

POZDROWIENIE

Skowronki w obłokach radosną nucią pieśń.
Żeby widzieć — trzeba oczy wysoko w górę wznieść.
Otwórz okna szeroko na pole —
na wiosenny świat —
o świcie,
gdy z słońcem czerwonym na czołe
stąpa z cicha wiatr
po młodym życie.
Albo wyjdź na łąki wczesnym rankiem boso,
gdzie trawy ciężko dyszą — zapocone rosą!
Możesz piersią głęboko swobodnie oddychać.
Powietrze jest czyste jak źródłana woda,
pachnie ziemią i słońcem.
Wśród kwiatów i traw na łące
bzykanie pszczoł słychać.
Zieleń faluje świeża na zagonach.
A drzewa jak dziewczyny w sukniach białych stoją
i widokiem wspaniałym sycą duszę moją.

ilustr. A. Strumiłło

ważnego, takie pojedyncze wystrzały. — Jakby ktoś na wiwat strzelał, albo pozbywał się niepotrzebnych naboju — mówię na głos.

— Czemuś Pietruś taki dureń... ładne mi „wiwat”, jak tam nie jedno młode życie muszą jeszcze dobrze kosić...

Znów milczymy, bo na prawdę uciszyło się, aż nas razi to, tak przyzwyczajeni jesteśmy już do tego piekła... Boć przecież, kiedy huk, to znaczy: walka; a wolność tylko wraz z walką przyjść może... Nad słuchujemy, wyteżamy wszystkie zmysły by wyczuć, co właściwie się dzieje, aż baba zdrzemnęła mi się. Ee, myślę sobie, kiedy ty śpisz — to znaczy: po wojnie.

I oto świta, a wciąż cisza. Ranek coraz bliżej, coraz spokojniej na świecie i nic, co by wskazywało na jakiegokolwiek większego walki. I las nie szumi, wiatr przestał nawet dać i świerki co tak nocą chrzęściły gałęziami stoją znieruchomiełe jak husarze czekający w poszanowaniu na wjazd króla jego mości w ich szeregi. Szarpia jeszcze ciepłym powietrzem pojedyncze detonacje, ale żadnego piekła już nie ma... ani śladu... koniec?

Nie powtarza się. Nasi chyba w Hajdzie. Jeżeli spokój po walce, to chyba tak. Dawno minęły te czasy, kiedy spokój po ogniu był heroldem zbirów. Czysta dziś dobra wieść niesie!

Coraz jaśniejszy ranek: dzień zmartwychwstaje, kwitnie w światło, przepych lata teraz, w głębokiej ciszy, miast stawać się poważnym, zaczyna figlarzyć: już i słońce, niby czerwony, odpustowy balonik puszczony ręką dziecka wznosi się coraz wyżej i wyżej! Już jest ponad krzakami, płacze się w najwyższych gałęziach! Oto już tak wysoko, jak kopuła kościoła, a tu wciąż spokój i spokój, że zdaje się — śni się to wszystko.

Podnosi się moja baba, zdaje się nie rozumieć, gdzie jest.

— Pietruś, co to tak cicho?

— Chyba po bitce... Już dawno taka cisza...

— To idziemy, co?

— Ano, idziemy.

Po drodze spotykamy jakiegoś rowerzystę. Nie wierzymy własnym oczom: na rękawie u niego czerwona opaska. Oczywiście bez swastyki! Od razu poznaję, że dopiero na przedce okrzęona. Chłopiec w wieku poborowym, a nie w mundurze, bez opaski volksszturmisty, to coś niezwykłego... to chyba Czech, który jedzie witać wkraczających braci-osiwobodzicieli. Było nie było, trzeba zagadać po polsku.

— Hej, kluku, co tam słychać nowego?

— Człowiecze, kapitulacja! Niemczuchy oddają broń, władzę obejmują Czesi, za godzinę mają być u nas sowieckie wojska!



Układamy się w pulchnym wrzosowisku: beznamiętnie tutaj, błogo, ciepło: tylko żyć! ale, czy przeżyjemy?

— Przeżyjemy, nie bój się nic, Piotruś, pociesza mnie baba.

Nie usypiamy nawet i wtedy, kiedy się uspokoiło na dłużej. Leżymy sobie zachwyceni lasem, jak w królewskim łożu, chłodzeni wachlarzami konarów leśnych naszych przyjacieli. Las teraz wygląda jak pałac staroświecki, świerki nieczym wieżyczki, a pnie drzew stojące rzędem podobne są do filarów podpierających sufit kościoła. Nastają ciemności, oświetlane latarniami lun. Drzewa w tej chwili zmieniają swój widok i podobne są do rycerzy, trzymających przy nas straż. W półmroku, białe korony rozsiadanych tu i ówdzie kwiatów, polyskują nieczym robaczki świętojańskie... zapomina się o całym piekle. A przecież gdzie spojrzeć — wszędzie luny i luny, gdzie nadstawić uszu — huczy i huczy.

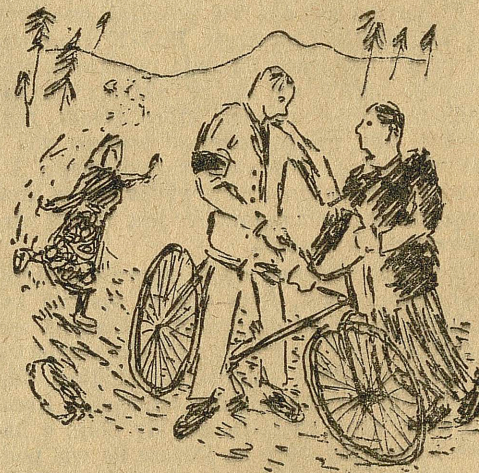
Wreszcie znów dłuższy czas cisza. Okropnie to denerwuje... skończyłoby raz to do cholery... Ale, ale... szczęście nie tak łatwo przychodzi...

— Zdaje się, że się jednak już nie biją, twierdzi moja żona. Może szwaby wieją?

— Tędy by szli...

Bbbuuu! bbbuuu! tratat... trrrat...

Milczymy. Trzeba nadstawić uszy, bo to co słyszymy, jakieś niepewne, inne, nie



Uległem takiemu wzruszeniu, jakie chyba odczuwa skazany na śmierć stojący przed egzekucyjnym plutonem w chwili, gdy mu przynoszą uśmieszki. Chwytałem się ramy roweru Czecha i nie puszczałem.

— Prawdę pan mówi?

Czech rozumie, że trudno w to uwierzyć, nie dziwi się więc, a powoli, spokojnie wyjaśnia mi, opowiada, co zaszło dzisiejszej, z 8 na 9 maja nocy.

I tak radując się wspólnie, kroczyliśmy już obok domu mego bauera! Stoi on z całą grupą wystraszonych Niemców na swym podwórzu i z łbem zwieszonym, jak ciele w rzeźni, coś szwargocze... Nie boi się nikogo z Polaków, nie boi się mnie, bo nikomu z nas krzywdy nie zrobił, ale pochmurny okrutnie, jakby go szedł wieszać. Żył z nim cały czas dobrze, więc go nie omijam bez pozdrowienia. — Guten Tag! krzyczę w jego stronę.

Spojrzał. Ale ani słowem się nie odzywa do mnie. Dlaczego? Przecież cały czas żyliśmy nie jak Polak i Niemiec, a jakby dwaj Polacy: parobek i gospodarz. Teraz widzę nienawiść w jego ślepiach... dziwne... przecież mi nic złego nie zrobił i wie, że nie idę go rżnąć... A może już wie, że Prusy Wschodnie i to, co nam zrabowali już jest na wieki nasze i za to trzeba nas nienawidzić? Może nienawidzi mnie za to, że będzie musiał Sudety opuścić? Niezbędne są tajemnice niemieckiej nienawiści.

Edmund Calka

Bunty i powstania chłopów opolskich

na przełomie w. XVIII i XIX (I)

ZAMIAST WSTĘPU

Krwawe zmagania chłopów polskiego, zamieszkującego tereny dzisiejszej Opolszczyzny, o społeczne i narodowe wyzwolenie spod jarzma pruskiego z końcem XVIII i na początku XIX w. nie znalazły dotychczas odpowiedniego rozdziału w historii walki narodu polskiego z odwiecznym wrogiem germańskim. Literatura polska zupełnie pominęła fakty buntów i powstań pańszczyźnianych chłopów, praojców dzisiejszych autochtonów opolskich. Niemcy z całą premedytacją i z istic germańską skrupulatnością niszczyli to wszystko, co pozostawione w pisanej spuściznie, mogło przypomnieć światu o wyzwoleniczych walkach śląskiego ludu, co mogło zadawać kłam ich propagandzie o nie-mieckości Opolszczyzny.

Pozornie ciemne masy dławione pruską przemocą raz poraz powstawały samorzutnie, świadome walki, zdecydowane na wszystko — w okresie, kiedy na innych ziemiach polskich chłop zaczynał dopiero przeżywać walkę o społeczne wyzwolenie, o nowy lepszy byt.

Niech praca niniejsza choć w części wynagrodzi bohaterstwu ludowi Opolszczyzny gorzkie historyczne zapomnienie.

W TROJAKIM PODDAŃSTWIE

Sytuacja, w jakiej znajdował się lud polski na terenach dzisiejszej Opolszczyzny z końcem XVIII i na początku XIX w., była wręcz katastrofalna. Wieś, uciskana na każdym kroku z jednej strony przez władzę pruską, widzącą w niej jedyną ostoję polskości, z drugiej — wyzyskiwaną na straszny i nieludzki sposób przez zupełnie zniemczone lub ulegające procesowi germanizacji ziemianstwo, coraz bardziej tęsknym okiem spoglądała ku Polsce, która wydawała się jej wynisyonym rajem, jakkolwiek i tam stosunki społeczne nie układały się lepiej.

Własności prywatnej chłopskiej właściciel nie było na Opolszczyźnie, chociaż chłop siedział na roli, obrabiał w święta i wieczory ziemię, posiadał chałupę, a nawet inwentarz żywy i martwy. Chłop bowiem z całą rodziną był własnością swego pana jako jedynie zwierzę robocze czy przedmiot codziennego użytku. Pan — obojętnie czy to był ziemianin, biskup czy choćby nawet sołtys — w powiecie nyskim i grotkowskim istniały jedyne na terenie Polski sołtysostwa pełnoprawne, z władzą sądowniczą, sprawujące we własnym zakresie patronat nad szkołą i kościołem — był panem życia i śmierci chłopów, który nie mógł opuścić wsi bez zezwolenia dworu, był sądzony przez dziedzica lub jego zastępcę. Za wszystko chłop musiał płacić daniny. Dwory żądały wysokich opłat nawet za pozwolenie na zawarcie małżeństwa etc.

Trojakie poddaństwo (osobiste, grunto-we i sądowe) połączone ze stałym wzrostem zadłużenia wsi, wytworzyło nową warstwę proletariatu chłopskiego — chałupników, których pod koniec panowania Fryderyka II liczone na terenie kilku powiatów c-a 50.000 ludzi. Komornicy ci nie posiadali gospodarstw ani domów. Mieszkali po kilka rodzin w jednej izbie wydzierżawionej im z łaski dziedzica wzajemian za robotę dniówkową na każde żądanie pana. Byli to chłopcy, których zadłużenie u dziedzica pozbawiło gospodarstw i wtrąciło w skrajną nędzę.

Oprócz chałupników na terenie Opolszczyzny w tym samym czasie przebywało w okropnych warunkach około 40.000 komorników, handlarzy lub robotników. Nędza tych nieszczęśliwych istot nie ma chyba równej w dziejach ludzkości.

Rząd pruski celowo nie interesował się losem chłopów, wręcz przeciwnie — sędzi na rękę magnaterii i drobnemu ziemianstwu, wychodząc z założenia, że nędzą materialną zabije w duszach polskość, że tą drogą wieś, nie widząc innego wyjścia, powoli ulegnie procesowi germanizacji.

Chłop jednak nie uległ. Żył w nędzy ale polskość trzymał wysoko jak sztandar. Według opinii Niemca z okresu Fryderyka II, von der Goltza, chłop polski, jak również komornik czy chałupnik stanowił

element wartościowy i inteligentny, wyso-ko stojący pod względem moralnym i narodowym.

EDYKT KRÓLEWSKI Z 1754 r.

Najbardziej chyba w historii chłopstwa krzywdzącym prawem był edykt z r. 1754, wydany w myśl żądań ziemianstwa, które przy zabieraniu gospodarstw chłopskich chciało się oprzeć na pewnym prawie, aby tym szybciej i sprawniej dokonywać rabunków chłopskich posiadłości pod pozorem niemożności spłacania zadłużeń przez wieś. Po raz pierwszy w historii edykt królewski sankcjonował bezprawie i zwykłą grabież prawem silniejszego. Jedynym warunkiem zajęcia zadłużonego gospodarstwa był obowiązek osadzenia na nim 2—3 zagrodników czy chałupników oraz przejęcia zaległych podatków, co dla dziedzica nie przedstawiało żadnych trudności, wręcz przeciwnie — czysty zysk: zagrodnicy byli pod ręką, zaległości podatkowe przechodziły na nich z kolei. Dziedzic miał siły robocze bezpłatne.

Siły te musiały nie tylko obrobić przejęte gospodarstwa, ale i inne ziemie pańskie. Na każde zawołanie musiały być do dyspozycji dziedzica wraz z całą rodziną i posiadanym inwentarzem martwym i żywym. Na mocy tego edyktu chłop tracił wszystko i stawał się nędzarzem w roli niewolnika, raba roboczego.

Szlachta zaś bez żadnego wysiłku ze swej strony, stwarzając jedynie fantastyczne cyfry chłopskiego zadłużenia, nawet bez względu na to, czy chłop regularnie uiszczał wszystkie wyznaczone przez dziedzica powinności, — zyskiwała i ziemię i nowe siły robocze na swoją wyłączną własność. Decyzja dziedzica była ważna wobec prawa i nie można jej było odwołać, chyba jedynie na wyraźne życzenie króla. W układzie społecznym chłop był zerem, pionkiem w rękach swego pana, który z nim postępował według własnego uznania. Chłop był wyjęty spod prawa — stanowił przedmiot, narzędzie — nic więcej.

Edykt królewski był iskrą rzuconą na prochy. Chłop nie wytrzymał dłużej upokorzenia i męki niewolnictwa. Wieś straciła cierpliwość.

Połączyli się wyrzuceni z gospodarstw z tymi, co jeszcze na nich siedzieli — w oczekiwaniu na swoją kolej. Los wszystkich chłopów był teraz jednakowy: edykt w równej mierze dotyczył wszystkich. Instykt samoobrony przemówił — siłą.

Wieś postanowiła bronić swych praw do życia, swojej ojcowizny.

PIERWSZY ZRYW W r. 1766

Co energiczniejsze, przywódcze jednostki z pośród ludu nawoływały już z chwilą ogłoszenia edyktu do stawiania oporu szlachcie przy usiłowaniu zajmowania gospodarstw. Szlachta miała jednak dobrze płatnych slugusów, którzy przy zastosowaniu siły, bata lub zamknięcia w piwnicy likwidowali w zarodku nawet najmniejszy cień oporu. Dlatego postanowiono, oczywiście w jak największej tajemnicy, zmienić taktykę postępowania i wystąpić gromadnie. „Niech siła oprze się sile” — mówiono między sobą.

Uszykowano kłonicę, widły, cepy — co kto mógł, zabierał z sobą i wychodził w nocy do lasu na umówiony punkt zborny — na sejm chłopski. Ścierano się z sobą i kłócono, kto ma przejąć dowództwo, gdzie najprzód uderzyć czy tylko zaprzęstać robotę pańszczyźnianych na znak protestu.

Przez kilka nocy z rzędu toczyły się narady, aż wreszcie na hasło dane z Raciborza, gdzie wytworzył się silniejszy ośrodek dyspozycyjny z zasięgiem kilku powiatów, zaprzestano robot pańszczyźnianych, odmówiono wszelkich świadczeń. Mężczyźni uszli w lasy uzbrojeni, kobiety i dzieci zajęły się dostarczaniem środków żywności oraz informowaniem o zachowaniu się wrogów — dziedziców, duchowieństwa, sołtysów i władz rządowych. Bunt ogarnął równocześnie powiat raciborski, pszczyński, bytomski i toszecko-gliwicki.

Zamarło wszelkie życie. Był to chyba najcięższy w świecie bunt: nikt właściwie

nie żądał niczego, nie krzyczał, nie protestował. Niemy, twardy bunt chłopów, który zaczął się w sobie, zamknął, zacisnął pięści i czekał, gotowy do podjęcia walki swą mizerną bronią.

Był okres żniw. Szlachta nie wiedziała co począć — bezsilna. Raz po raz pędzili konni posłańcy do władz pruskich z prośbą o interwencję. Gabinety landratów zapełnione były skargami, prośbami, zakłeciami. O rozwiązaniu czy choćby tylko o próbie rozwiązania zagadnienia chłopów nikt nie pomyślał. Chłop musi powrócić do pracy — to jego obowiązek.

Na konferencjach szlachty z landratami postanowiono siłą zniszczyć bunt i chłopów raz na zawsze wybić z głowy myśl o poprawieniu bytu.

Pierwszy punkt miało zrealizować wojsko pruskie, drugi — zobowiązała się wypełnić co do joty szlachta, a właściwie junkrzy niemieccy.

Wkrótce przyjechał z Toszka landrat von Sack na czele szwadronu huzarów celem poskromienia opornych przy użyciu wiecznie tych samych metod pruskich — bezwzględności wobec każdego spotkanego czy schwytanego chłopów. Szwadron penetrował wioskę za wioską, wszędzie pozostawiając trupy, rannych i pobitych.

Landrat z Toszka miał wielką uciechę, wydając rozkaz strzelania na chybił trafił do napotykanym po drodze ludzi — obojętnie: mężczyzn, kobiet czy dzieci. Dla postrachu spalono kilka chałup pod pretekstem, że ukrywali się tam buntownicy. W każdym domu przeprowadzano rewizję zabierając ostatni dobytek chłopów.

Każda wioska była posadzona o udział w buncie, każda wieś powinna też ponieść karę. Krwawy landrat kazał ściągać z każdej wioski ludność męską w jedno miejsce dla wymierzenia zasłużonej kary — każdego pędzono przez „praszczkę” czyli rzęgi, dając każdemu z domniemyanych uczestników ruchu społecznego do 150 batów na gołą skórę, celem wyzbycia go na przyszłość wszelkich myśli o buntach i ruchach.

W niektórych wypadkach dziedzice odmówili prawa pobytu w wydzierżawianych przez siebie domach tym wszystkim, którzy posadzeni byli o udział w spisku, wskutek czego okaleczeni, bez środków do życia, bez możliwości ruchu, skazani byli na straszną poniewierkę, na okropne tułactwo od wsi do wsi, od lasu do lasu.

Innym środkiem karnym był t. zw. śpi-czasty osioł czyli znana ogólnie w średniowieczu kobylica, w której zamykano nieszczęśliwców na kilka dni z rzędu bez możliwości zmiany pozycji głowy czy układu ciała, — każdy ruch, zmierzający do zmiany niewygodnej pozycji groził uduszeniem.

Całe wioski jeźdźcy pod krwawym burtem najeźdźcy przez długie miesiące, zanim okrutne szwadrony huzarów pruskich nie stłumiły doszczętnie powstania.

„Bohaterski” landrat z Toszki, opromieniony chwałą i blaskiem pogromcy buntującego się chłopstwa z terenu kilku powiatów Opolszczyzny, wracał jak triumfator do swojej powiatowej stolicy, zyskując sobie uznanie i pochwały ze strony władz, straszną nienawiść i chęć zemsty ze strony chłopstwa.

Bunt został stłumiony, chłopcy wrócili do swojej pracy, oplakując straty swych najbliższych, lecząc rany. Ale myśl o nowym ruchu, lepiej zorganizowanym i w szerszym zakresie przeprowadzonym, nie dawała spokoju upartym chłopom, którzy bez względu na ofiary zrealizować chcieli swój program społeczny nieokreślonej może jeszcze treści, ale wielki i mający przed sobą olbrzymią przyszłość.

Przemoc pruska nie zdołała powstrzymać tych sił, które w codziennych zmaganiach z przeciwnościami losu i pogębieniem społecznym, zaczęły wyzwalając się w chłopskich duszach z coraz większą siłą, coraz silniej dochodzącą do głosu i coraz głębiej przeorywającą niewolniczą psychikę chłopów.

W PODZIEMIACH OPOLSCZCZYZNY

Wieść o ruchach, mających na celu poprawę warunków upośledzonej klasy spo-

łecznej — ludu śląskiego — lotem błyskawicy obiegła cały Śląsk. Jakkolwiek ruchy zostały krwawo przy użyciu pruskich knechtów stłumione, to jednak myśl o walce w imię praw człowieka do społecznego wolnego życia padła na odpowiedni grunt, rozwijała się w tajemnicy po lasach, płonęła po chatkach, zdobywała coraz więcej zwolenników.

Wytworzyła się nie narzucona przez nikogo, samodzielna, oddalona, przez nikogo właściwie nie kierowana konspiracja ludu śląskiego, który wszedł do podziemi przygotowywać się do walki ze strasznym terrorem pruskim i zmorą pańszczyzny.

Nie było właściwie przywódców, nie wytworzył się silniejszy ośrodek dyspozycyjny — lud sam przewodził sobie przez lokalne dowództwa, które powoływał na masowe leśne, sam opracowywał plany uświadamiania społecznego, sam stworzył coś w rodzaju dzisiejszych pogadanek czy kursów, na których obok rejestrowania każdej krzywdy, wyrządzonej przez żódków pruskich lub dwory, omawiano najważniejsze problemy i zagadnienia wsi.

Zaroiły się lasy od masówek w powiecie kluczborskim i oleskim. Nie było dnia, żeby od wsi nie pędził posłaniec czy emisariusz ludowy z nową wieścią — pociechą radosną lub przygnębieniem i smutkiem.

Nie się w terenie nie stało, czego by nie przedyskutowano na wspólnych zebraniach. Chłopi z odległych miejscowości nie raz szli pieszo i nocami, by przybyć na umówione miejsce i we wspólnej pogwarce w serdecznej, bratniej gromadzie omówić wszystkie bolączki, zastanowić się nad położeniem społecznym wsi, rozpamiętać krzywdy, ustalić wytyczne działania.

Brak było przywódców i organizatorów. Wieś z więzów poddaństwa, ze strasznej niewoli pańszczyźnianej przecierała dopiero oczy, nie miała jeszcze siły — instynktem czuła jednak moc, budzącą ją z tyłowikowego letargu do nowego życia. Typ przywódcy — jednostka silna, mogąca skoncentrować wszystkie pojedyncze wysiłki wsi — jeszcze się nie wytworzył, ale mimo to chłop solidarnie stawał na głos wewnętrzny buntu przeciwko krzywdzie społecznej w karnej gromadzie domagających się praw społecznych i sprawiedliwości społecznej oraz wyrównania dziejowych krzywd.

Sejmiki chłopskie zalecały organizowanie nauczania przez szerzenie czytelnictwa. Książka była droga i przez to niedostępna, pomimo to jednak każda prawie wieś w chwilach wolnych od pracy, a zwłaszcza w długie, zimowe wieczory na wspólnych zebraniach, własnymi siłami, bez pomocy nauczycieli uczyła się czytać bądź to z biblii czy z książeczek do nabożeństwa, bądź też z dzieł autorów ówczesnej doby.

W okresie Konstytucji 3-Majowej znaleźć można było na wsi dzieła jej twórców, rozchwytywane przez chłopów i komentowane jako z jednej strony zmierzające do podniesienia „ludu polskiego”, z drugiej — ukazujące nowe perspektywy połączenia Śląska z Macierzą w wyniku odrodzenia narodowego i rozumienia politycznego przywódców nowej rzeczywistości polskiej, opartej na zasadach Konstytucji z 1791 r.

Dużą pomocą w kształtowaniu oblicza chłopów opolskich była gazeta — pierwsze pismo dla ludu pt. „Gazety Śląskie dla ludu polskiego”. Gazeta ta zaczęła wychodzić jeszcze na rok przed Konstytucją Majową, w życiu wsi stając się bardzo poważnym wydarzeniem.

Chłop opolski miał własne pismo w tym czasie, kiedy inne ziemie polskie spały jeszcze w najlepsze, kiedy warstwa najbardziej uprzywilejowana i rządząca nie mogła się czymś podobnym poszczycić.

Wraz z gazetami dochodziły coraz ciękawsze wieści ze świata i z Rzeczypospolitej, wieści cudowne o przemianach, o rewolucjach i przewrotach. I znów ożywiały się lasy i znów radzono nad sytuacją i znów krew silniej w żyłach zaczęła kipieć, znów rodził się w sercach bunt, nieciło się zarzewie walki...

(d. c. n.)

Józef Andrzej Frasiak

WSPOMNIENIE O WINCENTYM KUGLINIE

Wspominam zawsze ze wzruszeniem ten dzień odległy już bardzo, kiedy jako student krakowskiego gimnazjum poznałem latem na wakacjach Kuglina. Byłem wtedy po szóstej, Kuglin po piątej klasie gimnazjalnej. Moje zamięłowania dalekie były jeszcze wtedy od tego, co określa się jako t. zw. „literaturę”, interesował mnie wtedy raczej sport, jeśli w ogóle to można nazwać zainteresowaniem, na jakie skromnie można sobie było pozwolić przy ustawicznej pracy około gospodarstwa rodziców. Pamiętam go dobrze: szczupły, wyższy ode mnie, z jasną jak len czupryną zaczesaną do góry. Oczy miał niebieskie. Był to więc żywy człowiek, jakby wyjęty z sielankowego opisu: te włosy jasne jak słońce, jak kolor zbóż dojrzewających, te oczy niebieskie jak chabry. Był taki słowiański na wskroś, polski — a ludowy zarazem.

To był zewnętrzny rys człowieka, którego dotąd noszę w sobie. Był urodzonym humorystą i kpiarzem, w dobrym tego słowa znaczeniu. Przelewała się przez niego młodość żywa, bujna i pełna. Ta cecha charakteru zjednywała mu wielu przyjaciół, których umiał oczarować już wtedy swoją beztroską pogodą.

Nie od tej jednak strony przyszło moje poznanie z Kuglinem, ani nie od tej strony wywijała się między nami serdeczna przyjaźń. To zbliżenie przyszło skądinąd. Kuglin był poetą! Rozczytywał się już wtedy na dobre w poezji, próbował tworzyć sam. Szedł poemacku. Mimo że piękno niektórych arcydzieł literatury odsłonić mu mogła już szkoła, „na własną rękę” rozczytywał się w poetach Młodej Polski, do romantyków zaglądając niekiedy, pisał pod ich urokiem. Pisał pod urokiem Tetmajera, Kasprowicza, Lenartowicza, Konopnickiej, później Or-Ota... Nie byli to wszyscy poeci godni naśladowania. Te próby wierszowania albo poezjowania, którymi zachwycał nas już wówczas, z perspektywy lat kilkunastu wydają się dziś naiwną igraszką słowną — a jednak ujmują nas owym prymitywem artystycznym, którym Kuglin po raz pierwszy próbował ujmować swój ubożuchny jeszcze świat przeżyć. Ileż to razy czytywał nam nad rzeczka prądnicką, nad Białuchą, prościutecznie w formie wiersze swojej najpiękniejszej młodości. Kiedyś Górnicki w „Dworzaninie” wspomina o tych samych stronach: „Tuż u Krakowa jest rzeczka Prądnik...” Ta sama rzeczka prądnicka obrosła olchami była terenem naszych pierwszych spotkań. A u gruszy—starowinki, jak u czarnońskiej lipy, rosnącej koło naszego domu, ile wierszy naczytał — ile historii przyszłych snuł? Wspominam o tym jeszcze dziś z rozrzedzeniem i zadumą. Tu bowiem urodziła się moja liryczna muza. Mogłem przecież zostać później kupcem, albo księdzem, — a tymczasem? Tu urodzona moja sielska muza już pozostała mi niedostępną towarzyszką aż po dzień dzisiejszy.

A przy jej narodzeniu Kuglin odegrał niepoślednią rolę.

Gdyby mi dziś przyszło odpowiedzieć na pytanie, jak zostałem poetą, nie mógłbym pominąć następującego faktu: któregoś dnia lipcowego na wakacjach, Kuglin, zadufany już trochę w sobie, zaproponował mi napisanie wiersza, sądząc, że temu zadaniu nie sprostał. Podał mi nawet za temat burzę. Sprawa szła prawdopodobnie o zakład. Wiersz miał być gotowy na drugi dzień. Przypominam sobie dobrze ten wieczór, kiedy po raz pierwszy chwyciłem za pióro, aby napisać wiersz, który nie był przecież moją potrzebą wewnętrzną a rozdził się tylko z zamówienia. Mój, pożałuj Boże, pierwszy wiersz! Było to w roku 1928. Pamiętam, jak od razu pod Mickiewiczowską burzę z Pana Tadeusza, wyrąbałem tego wieczora ponad sto pięćdziesiąt trzynastozgłoskowców, w które zamknąłem burzę tyle razy ogladaną w naszych stronach. Rozczytywałem się wtedy w Panu Tadeuszu, żyłem pod urokiem tych pogodnych i pięknych wierszy, zwłaszcza zachodzącego słońca, burzy i t. p. — nic więc dziwnego, że pierwsza moja realizacja „poetycka”, że pierwszy mój wiersz sięgnął po wszystkie elementy Mickiewiczowskiego stylu, który jakże nieudolnie

jeszcze mogłem wtedy naśladować. Urodził się pierwszy mój wiersz, który stanowi dziś dla mnie najlepszą ilustrację t. zw. wpływów i zależności, jakie ustawicznie zachodzą w literaturze. Gdy niedawno przeczytałem wiersz Jana Marcinka p. t. „Burza”, będący też wiernym naśladownictwem burzy z Pana Tadeusza — dzień narodzin pierwszego mojego wiersza stanął znowu przede mną z owym rozrzedzeniem, z jakim wspominamy zawsze pierwszą młodość. Powróćmy jednak do rzeczy: następnego dnia odczytałem ten wiersz Kuglinowi. Chwalił jak mógł, wytykał tu i ówdzie pewne „niedociągnięcia”... Jakież zresztą mógł znaleźć tam błędy, on kilkunastoletni młodzieniec, od kilku miesięcy zaledwie parający się wierszem? Jakież mógł mieć wtedy kryteria, jakie sprawdziany, jaką miarę oceny ów kilkunastoletni poeta nie znający jeszcze wtedy nawet poetów Skamandra! Stało się jednak. Rozkosz płynąca z tworzenia, z owej czynności, która nazywa i przyzywa rzecz nieznaną, która ubiera w realny kształt poetyckiego słowa to, co przeżyte i minione — to pierwsze moje spotkanie z muzą zwyciężyło mnie już na zawsze. Napisałem w następnych dniach potem jeszcze kilka wierszy — i, o zgrozo, jeden z nich zanieśiony do redakcji ludowego tygodnika „Rola”, gdzie Kuglin już od kilku miesięcy drukował swoje pierwowciny, został wydrukowany. Po kilku miesiącach poezjowania drukowałem już w dodatku literacko-naukowym I. K. C., a niedługo potem i w pismach literackich. Tak urodziła się moja liryczna muza.

Był Kuglin z tych małorolnych chłopów, którzy szli za granicę na poszukiwanie chleba, gdy tu w kraju, mogło go być dla wszystkich a jednak było za mało. Rodzice poety jak i krewni, tak ze strony matki jak i ojca, pochodzili z okolic Oświęcimia, Zatora i Wadowic, gdzie dotychczas rozrzedzeni, orzą i sieją. Nieboga to ziemia ani rozległa. Poletka rozdrobniona miedzami, ziemi niedużo. Stąd przed pierwszą wojną światową szła fala sezonowych robotników rolnych na „Sachsy” i do Danii. A fala ta nie ominęła także i rodziców poety. Tam też, na obcej ziemi (w Danii) urodził się Kuglin w roku 1909. Powrócił jeszcze w dzieciństwie do kraju i wychowywał się zrazu na wsi w rodzinnych stronach swoich rodziców — później na wsi pod Krakowem (w Prądniku Czerwonym). W przystępie dobrego humoru szczylił się tym swoim „urodzeniem” w Danii, o której wyrażał się zawsze ze wzruszeniem. Zawadzi w późniejszych latach swojej twórczości o te czasy w wierszu pt. „Rozmowa z Andersenem”, gdzie zamyka całą tęsknotę za tym „uczciwym

i bogatym krajem”, który stał się krajem jego lat dziecińczych: „Nad moją głową nie szumiło niebo melodią kołysanek, nad rodnią ziemią duńską grzmiało, gdy w Randers przyszedł w zły poranek. I odtąd wicher gna po świecie, węszyć mnie w tłumnym ludzkim lesie — polskie z obczyzny małe dziecię już nikt na powrót nie odniesie. O, Andersie, po co bajki? Już twoją mową nic nie powiem!” — pisze poeta w wierszu p. t. „Rozmowa z Andersenem”.

W ustawicznych niedostatkach materialnych przeszedł przez gimnazjum a w czasie wakacji letnich, zamiast wyjechać na odpoczynek, pracował we młynie jako robotnik, później jako sekretarz gminny w Prądniku Czerwonym. Piął się w górę jak mógł w owych trudnych czasach, gdy synowie ziemian i bogatych kupców, jako złota młodzież, ubrani dostatnio i syci, mogli korzystać ze wszystkich dobrodziejstw „kultury”. Pisał wiersze, urządził poranki na przedmieściach, organizował świetlice, reżyserował, brał udział w przedstawieniach, pisał felietony w pismach ludowych, jeździł jako reporter po parafiach, po uroczystościach ludowych — zawsze czynny i ruchliwy. Wspólnie z L. Wierzchowskim próbował nawet wydawać jakiś czas na Prądniku Czerwonym czasopismo p. t. „Wieś i miasto”, którego wyszło z górą dwadzieścia numerów. Deficytowe to czasopismo subwencjonował bogaty gospodarz cegielni w Prądniku Czerwonym, Marcin Wencel. Drukował w tym czasie Kuglin w „Roli” za redakcji Basary, — w dodatku literacko-naukowym I. K. C., w Gazecie Literackiej, w Dzwonie Niedzielnym — że wymienimy tylko najważniejsze. Miał wielką łatwość rymowania. Improwizował też niekiedy na wieczorkach, układał piosenki pod muzykę, odpowiadał wierszami — to nie było małe! Rósł w środowisku chłopskim, które ubożone materialnie, traciło z wolna swój charakter ludowy — a stawało się środowiskiem proletariackim. Był jakby poetą z pogranicza. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę organizując wspomniane czasopismo „Wieś i miasto”. Co tu z socjologicznego punktu widzenia mogło być ciekawe — nie doszło do głosu w poezji Kuglina, który pozostał raczej wierny wspomnieniom wiejskim z lat dziecińczych.

Co możemy powiedzieć o poecie dziś? Oto ostatnie wspomnienia jakimi możemy ogarnąć odeszłego poetę, to wrzesień 1939, wojna z Niemcami, potem tułaczka po obcych krajach, udział w walkach we Francji i Norwegii — i cisza. Norwegia kryje tragedię poety, o czym do dziś dnia nikt nie bliżej podać nie może. Dziś możemy napisać tylko tyle, że żył kiedyś, że był... Tyle, co napisać można o człowieku, o zaginionym bez wieści.

Stanisław Ciesielczuk

Z jakąś wielką czułością dawno zapomnianą
nurzam oczy w różowej mgłę nieba o wschodzie,
uśmiecham się dziecinnie skoszonemu sianu
i wielu zwykłym rzeczom, które widzę co dzień.

Niedojrzałe owoce wpięte w bujną zieleń
pachną wspomnieniem wiosny przekazanym latu
i tymi, których nie ma, których było wiele,
kwiatami jedynymi spośród wszystkich kwiatów.

Garnę do siebie zboże, co dzieciństwu memu
dało woń świeżą, mocną i szept swego głosu,
palce błędzą wśród szorstkich i wąsatych kłosów
wyrosłych licznie z żyznej gleby czarnoziem.

O, lepiej by mi było spędzić życie tutaj,
bruku miast rozkrzyczanych nie dotykać stopą,
niż z mgłą żalu, co oczy zasłania rozsnuta,
zazdrościć teraz szczęścia biednym, prostym chłopom...

OD WYDAWCY. Z posiadanych przeze mnie dość licznych rękopisów s. p. Stanisława Ciesielczuka z wczesnego okresu Jego twórczości, ocalało mi przypadkiem kilka. Jeden z nich ogłaszam obecnie jako charakterystyczny dla stosunku poety do wsi, do rodzinnego zakątka, do którego wciąż powracał powodowany tęsknotą i miłością ziemi tych „wielu zwykłych rzeczy”, które na wsi się dzieją.

A. Szozerowski.

Co napisał, co zostawił po sobie ów młody wielbiciel muz, poeta zagubiony w odmętach wojny? Jakie są te obiektywizacje, te okruciny jego pracy literackiej, które świadczyć mogą, że był i kim był? Oprócz drobnych artykułów i felietonów drukowanych w prasie ludowej i wierszy okolicznościowych pomieszczanych w latach 1928 do 1939 w tygodniku „Rola”, w dodatku literacko-naukowym I. K. C., Gazecie Literackiej i t. p. Kuglin zostawił po sobie trzy skromne książki poetyckie: „Po drodze”, poezje, stron 32, Kraków 1935; „Młyny Boże” poezje, stron 37, Kraków 1937 (nakładem Franciszka Łuczywo), oraz w tym samym roku „Młyny Boże” jako wydanie bibliofilskie (30 nie sprzedanych egzemplarzy) w bibliotece Jana Kuglina w Poznaniu, stanowiące dziś rzadkość bibliofilską i „Kwitnące Krzyże”, poezje, stron 32, Poznań 1939. Kilka recenzji z tych książek zostało w czasopiśmie („Kultura” Nr 51-52 z r. 1937) omówione. „Młyny Boże” w książce Kazimierza Czachowskiego pt. „Najnowsza polska twórczość literacka” wydanej w roku 1937, wzmianka o nim w książce „Cieniste ścieżki literatury ludowej” Józefa Kapuścińskiego wydanej w ostatnich miesiącach — i to by było wszystko...

Pisząc o Kuglinie nie sposób pominąć nazwisk dwóch chłopów z Prądnika Czerwonego, dwóch mecenasów literatury. Pierwszy z nich to Marcin Wencel, gospodarz i właściciel cegielni finansujący czasopismo „Wieś i miasto”, drugi, to Franciszek Łuczywo, którego nakładem wyszły „Młyny Boże” Kuglina. Czy nie rzadkie i piękne? Dwaj chłopci w roli mecenasów literatury! Na tle dwudziestolecia międzywojennego, kiedy państwo tak mało zainteresowania okazywało dla oświaty na wsi, z perspektywy kilkunastu lat te dwa drobne fakty nabierają szczególnego znaczenia.

Tak ilościowo, jak i jakościowo literacki dorobek Kuglina jest skromny. Przeważa liryka, wiersze krótkie, okolicznościowe, utwory krótkie, tradycyjne przeważnie w formie, rymowane, tu i ówdzie asonansem ubrane. Kuglin był poetą tradycyjnistą. Nie znajdziemy u niego ani wyszukanych metafor, ani modnych chwytów poetyckich. Wiersz buduje przeważnie w stare zwrotki, o pełnym przeważnie rymie. Luźniejszy chyba rytm tych skromnych utworów wskazywać może, że poecie nie obcą była poezja lat międzywojennych. W „Kwitnących krzyżach” i „Młynach Bożych” podjął tematykę religijną, wszedł w metafizykę, której zagadnień jednak artystycznie nie potrafił oryginalnie zaakcentować. Nie związał się też Kuglin z żadną grupą poetycką, szedł luzem, poemacku. Nie był też poetą buntu społecznego. Był poetą łagodnych sielank, widzającym sens życia poprzez poezję łagodną i uśmiechniętą. Nie był też poetą wysokiego lotu, ani tonów wysokich. Śpiewał jak umiał. Śpiewał krajobraz polny i wesoły, niedzielny rzec by można, nastrój wsi. Był poetą nieostającym jeszcze i nieokręplym co do formy — i niepoznanym jeszcze w swoich możliwościach poetyckich.

Jako syn chłopski, mozolnie dźwigający się ku górze własnymi siłami, ku nauce i literaturze — jako poeta i żołnierz nieznanego zagubiony na obcej ziemi, zasługuje na wspomnienie serdeczne, jakie winno się tym, co już nie wróci.

W OSTATNIM 16 (95) NUMERZE „WSI”

z dnia 20 kwietnia 1947 r.:

Julian Rataj — W odwiedzinach u czeskich rolników; A. Mołodezykow — Przyroda i mistrzowie — tłum. Tadeusz Chrościelewski; Dr Mieczysław Kafel i Amalia Zielewicz — 50 lat pracy kobiety wiejskiej; Władysław Dunarowski — Ofiarowanie; A. F. Kiro-Nowaczyk — Oracz; W. K. — Nad Nysą; Stanisław Grabowiecki — Wiosna; Jan Marszałek — W obronie metafory; Dyżma Gałaj — Ciotka z Mystkowic; Adolf Kotarba — Listy ze Śląska; Fakty i zdania, 4 ilustracje, ogłoszenia, 8 stron.

E. Kwiatkowska

Ubezpieczenia społeczne wczoraj i dziś

Ubezpieczenia społeczne wczoraj, to nie tylko ten okres od końca XIX w. kiedy to Niemcy po stosunkowo najkrótszym czasie, w porównaniu z innymi państwami, teoretycznego zainteresowania zagadnieniem, przystąpiły do jego realizacji, ale i ten poprzedni bezporównania dłuższy, ten okres utopijnych doktrynerskich rozważań i pomysłów sięgający końca XVII w. W tym bowiem czasie po raz pierwszy publicysta romansopisarz angielski Daniel Defoe, wystąpił z formułą ubezpieczeń przymusowych i powszechnych. Można sięgnąć jeszcze dalej, aż do średniowiecza, ponieważ już wtedy istniało pojęcie ubezpieczenia, a nawet pewna jego konkretna forma wyrażająca się oczywiście wówczas w dobrowolności należenia do „stowarzyszenia” i w dobrowolności składek. Defoe we wszystkich swoich publicystycznych wystąpieniach propagował zagładę istniejącej już wtedy opieki społecznej, jako instytucji o partej na pewnego rodzaju filantropii państwowej, oraz wszelkich dobrowolnych zrzeszeń wzajemnej pomocy, na korzyść organizacji nowej, obejmującej wszystkich zakresem swego działania.

Mysł ubezpieczeniowy różnymi szła drogami na terenie różnych państw, ale wszędzie bazowała na jednakowej płaszczyźnie, obrony interesów warstwy ekonomicznej najsłabszej, warstwy pracowników najemnych. Stworzył ją — sama myśl i praca najemna — rozwój techniki przemysłowej i kapitalizm. Na tym tle sformułowany program Defoe go coraz częściej omawiany był w parlamencie, coraz częściej myśli ubezpieczeniowe znajdowały wyraz w nowych projektach, które ogólnie charakteryzuje niezadane finansowa. Bowiem nawet powierzchowne badania wykazały niemożność ekonomicznego oparcia tej nowej organizacji na składek ubezpieczonych, a nie przyszedł na myśl ówczesnym twórcom idei ubezpieczeniowej pomysł sięgnięcia do kas pracodawców. A gdy wreszcie w końcu XVII w. a więc po stu latach teoretycznych rozważań, John Vaneouver przystąpił z projektem zobowiązania przemysłowców do opłacania składek na rzecz swych pracowników, realny jego pomysł utonął w powodzi niewatpliwa oryginalnych, ale nie mających żadnego szans na urzeczywistnienie utopijnych koncepcji. Dopiero wiek XX i urzędowe narodzin niemieckich ubezpieczeń społecznych stworzyły podstawę do ich realizacji na terenie W. Brytanii.

Zaznaczyć trzeba, że mimo całkiem specjalnych warunków w jakich znajdował się naród Polski w omawianym czasie, Polska myśl ubezpieczeniowa zjawiała się także na początku XIX w. Wszystkie projekty mniej lub więcej fantazyjne posiadały te zasadnicze i do dnia dzisiejszego najaktualniejsze cechy: przymusowość i powszechność.

Idee społeczne choć posiadały początkowo charakter wzniosłych utopii, nie powstawały w próżni, w oderwaniu od zespołu spraw i zagadnień wstrząsających ówczesnymi społeczeństwami. Rodziły się one w orbicie spraw ekonomicznych i politycznych. Były wynikiem nawastrawiających się zjawisk rozwojowych, narastających konfliktów klasowych. Były logiczną konsekwencją wypływającą z obowiązków narzuconych przez Państwa warstwom dotychczas politycznie biernym, które żądać zaczęły uprawnień jako rekompensat za ich spełnienie.

Ustrój polityczny zbudowany na przywilejach stanowych musiał runąć z chwilą kiedy do obrony granic nie wystąpiła armia wodowa. Broń dana do ręki żołnierzowi w potrzebie państwowej, symbolicznie już nie została z niej wytrącona. Ruchy wolnościowe w XIX w. w oparciu o zróżniczkowanie klasowe powstałe wcześniej na tle wzmocnionej industrializacji państw, niesłychany rozwój kapitalizmu, to wszystko powodowało zmianę w psychice mas, która Państwo musiała wyprzedzić przez rozwinięcie działalności idące w kierunku ograniczenia wysiłku jednej warstwy przez drugą. Państwo uległo naciskowi politycznemu tego odłam społeczeństwa, dla którego potrzeba ustaw socjalnych była wyrazem zdobyczy klasowych. Dlatego właśnie utrwał się pogląd, że ustawodawstwo socjalne, jego powstanie i rozbudowa, jest wynikiem pewnej sumy zjawisk o charakterze socjalistycznym. Ale jest to dopiero pierwsza prawda na ten temat.

Paradoksem wydać się może na pierwszy rzut oka fakt, że nie kto inny, a żelazny kanclerz Bismarck ten właśnie, który bez namietnej racji stanu podporządkowywał całość polityki państwowej, on właśnie jest pierwszym realizatorem ubezpieczeń społecznych. Ubezpieczeń, które nie są fragmentem ustawodawstwa socjalnego, a jego głównym trzonem, więcej nawet narzędziem polityki społecznej. Fakt ten jest dowodem, że potrzeba ustawodawstwa socjalnego dojrzała i nie spostrzegano jej przez Państwo, grozić mogło poważnymi konfliktami.

Okres pierwszy wojny światowej charakteryzuje generalne zahamowanie rozwoju ustawodawstwa socjalnego. Wysiłek militarny narodów niezależnie po której stronie barrykady one stały, pochłaniał bez reszty siły i uwagę wszystkich zdolnych do walki i pracy. A po zakończeniu działań wojennych, zupełnie niespodziewanie, nastąpiło zdruzgotanie od podstaw polityki społecznej. To natomiast co się w tym okresie nazywało ustawodawstwem socjalnym, było w stosunku do potrzeb, a właściwie niezbędnych konieczności, karykatura. Polityka Państw wkroczyła na drogę socjalnego liberalizmu.

Dla ubezpieczeń społecznych rozpoczął się okres ostrego kierunku rewizjonistycznego. Istniały wprowadzić dwie sprzeczne tendencje. Jedną dążącą do rozwoju, do ujęcia w nowe formy ubezpieczeń, formy któreby od-

powiadały potrzebom i były dopasowane do zmian strukturalnych w gospodarce państwowi. Druga zaś głosiła potrzebę reform. Kryzys gospodarczy przyszedł w pomoc tendencji reformatorskiej, która nie była niczym innym jak zreczenie uporządkowanym zastąpieniem się względami gospodarczymi, frontalnym likwidatorskim atakiem na ubezpieczenia.

Dwa te kierunki walczyły ze sobą w okresie międzywojennym z różnym szczęściem, ale walka ta nie była twórczym scieraniem się poglądów mającym na celu udoskonalenie przedmiotu sporu. Chodziło o podcięcie samych zasad i stopniową likwidację. W okresie tym ubezpieczenia były reformowane. Były decentralizowane, centralizowane, była cała literatura w obronie poszczególnych zmian, ale przynależała do nich, że ani atak, ani obrona nie zrobiły z ubezpieczeń tego czym ona właściwie być powinny. Zmiany były połowiczne i szły raczej w kierunku usprawnienia administracji, dziedziny bardzo ważnej, ale nie wnoszącej nic nowego w samą zasadę, mającą wiele punktów niewralicznych. Wystarczy tu wymienić jeden, a mianowicie mocno problematyczną zasadę zabezpieczenia minimum egzystencji.

To wszystko nie znaczy bynajmniej, że w zakresie prac konkretnych nie uczyniono niczego poza rozwiązywaniem zagadnień organizacyjnych. W tym bowiem okresie wprowadzono w życie na całym terenie Państwa ubezpieczenia emerytalne robotników przemysłowych. Podwyższono wysokość rent inwalidzkich w tym samym rodzaju ubezpieczenia, opartych o przepisy niemieckie w województwach zachodnich. Ujednolicono na całym terytorium Państwa ubezpieczenie wypadkowe. Zapoczątkowano akcje bezpieczeństwa pracy. Wspierano bogate piśmiennictwo ubezpieczeniowe oświecające problemy wymagające rozwiązania w najbliższej przyszłości itd. Wynika z tego, że rozwiązywanie szerszych zagadnień o wielkiej doniosłości, odbywało się to jednak przy pewnym krętych zamyśleniach. Wszelka działalność, jeśli nie wywolała opozycji w pewnych sferach, to przechodziła bez żadnego wrażenia, bez efektu. Obojętność ta miała swoje psychologiczne usprawiedliwienie, w trudnych warunkach finansowych, w jakich brnęła większość społeczeństwa. Apatia w odniesieniu

do wszelkich półśrodków jakie stosowano w celu zażegnania zła, nie pozwalała spojrzeć z zainteresowaniem i rzeczową krytyką na osiągnięcia, które warto było aby zwrócić na nie uwagę. Społeczeństwo umiarkowanie występowało w obronie swych postulatów, a wszelka akcja nosząca na pozór cechy urzędowe kazała z góry zająć pewnego rodzaju wrogię stanowisko.

W druga wojna światowa ubezpieczenia wkroczyły jako generalny winowaita. Wada była sztywność obciążenia, nieodpowiednie dysponowanie kapitałem ubezpieczeniowym, niedostateczna wysokość świadczeń.

Koniec wojny przyniósł tak zasadnicze i gruntowne zmiany w polityce, w strukturze gospodarczej, w układzie stosunków społecznych, że powstała zupełnie nowa nieznana w naszej państwowości punkt widzenia na dziedzinę ustawodawstwa socjalnego, którego rozwój dotychczas odbywał się pod bezpośrednim naciskiem politycznego ruchu robotniczego. Pewne aspekty odpadły. Oparcie władzy państwowej na warstwach chronionych dotychczas przed wyzyskiem przez ustawodawstwo społeczne, upaństwowienie przemysłu, który stwarza warstwę pracowników najemnych, stawia te rzęsy pracowników, pozbawionych obecnie bójkowej postawy wobec prawodawcy, w pozycji rzecz można wyrazić.

Sytuacja finansowa ubezpieczeń społecznych nie jest dla nikogo tajemnicą i dlatego pierwszy etap działalności powołanej do walki z trudnościami natury zasadniczej i konkretnej, a kiedy przyjdzie etap uporządkowania idei w drodze otwartej dyskusji koniecznym jest przeprowadzenie badań naukowych, w przeciwnym razie wszelkie dowodzenia, jak to miało miejsce przed wojną, będą miały tylko wartość publicystyczną, bowiem wysuwane koncepcje reformatorskie nie opartych na rzetelnych badaniach naukowych, może spowodować walkę o ubezpieczenia na manowce.

Powojenny roczny żywot ubezpieczeń społecznych cechuje pewien rozmach. Zmiany wprowadzone już w życie dotyczą podstawowych postulatów ubezpieczeniowych. Przed wojenną walką o powszechność ubezpieczenia, o zasadniczą i najcharakterystyczniejszą ich cechę, predysponującą ubezpieczenia do roli jaką postawiły przed sobą, roli na-

rzędzia polityki społecznej, osiągnęła obecne już sukces. Obowiązek ubezpieczenia pełnego, czyli obejmującego wszystkie ryzyka rozciągnięty został na pracowników rolnych. Funkcjonariusze państwowi objęci zostali ubezpieczeniem chorobowym. Zniesiona została również górna granica uposażenia do wymiaru składek ubezpieczeniowych. W zakresie zapewnienia minimum egzystencji są także usiłowania, aby zadaniem tym sprostać. Zwiększony wymiar rent, z tendencją do zlikwidowania różnicy co do wysokości świadczeń w różnych rodzajach, oraz zapowiedź dalszej zwwyżki w miarę poprawy finansowej sytuacji ubezpieczeń, pozwala z pewnym optymizmem myśleć o przyszłości, zwłaszcza, jeśli w dalszym ciągu postulat powszechności będzie uwzględniany.

Najdonioślejszą jednak zmianą jest obciążenie pracodawców pełnymi składkami ubezpieczeniowymi. Fakt, który przed wojną nie tylko nie mógł mieć miejsca, ale bez przesady twierdzić można, że żądania takiego nie wysunąłby najgorętszy ideowiec, w momencie najbardziej fantastycznych rozmyślań na temat ubezpieczeniowej. Temu się nie da zaprzeczyć. Nie bez wpływu jest tu zasadniczo różna struktura gospodarcza Państwa, wyrażająca się w upaństwowieniu całego niemal przemysłu. W ten sposób Państwo, które tylko częściowo brało udział w finansach ubezpieczeniowych (zaopatrzenia ze Skarbu Państwa), obecnej jako „generalny” pracodawca zaangażowane jest w nich w poważnym procencie.

Sprawa ogromnej doniosłości jest wskrzeszenie pogrążonego, przez rzady komisaryczne, samorządu ubezpieczeniowego. Udział wice czynnika społecznego w zarządzie instytucji symbolizująca postępek społeczny, wzmocnienie żywotne zainteresowanie wśród społeczeństwa dla samej organizacji ubezpieczeniowej i wszystkich przejawów jej działalności.

Sa to więc zmiany jak na start bardzo poważne.

Jaka jest najbliższa przyszłość ubezpieczeń? Realizowanie zasadniczych postulatów: powszechność, przymus, urealnienie świadczeń, słowem ubezpieczenia wkroczyć muszą na drogę, na której wykazać będą mogły wszystkie swe pozytywne cechy. Bo tylko w ten sposób po zdobyciu zaufania, będą mogły spełniać rolę do jakiej zostały powołane. Dzisiejsze Państwo ze względu na zadanie, które musi ubezpieczenia wziąć w opiekę, ponieważ pozostawienie ich własnemu losowi, podrywałoby jedną z naczelnych zasad, na których opiera się jego autorytet.

Bronisław Kamieński

Próba dobrej woli

(Od naszego korespondenta z Francji)

Po ostatniej wojnie istniały wszelkie dane, aby sądzić, iż między Francją i Anglią nastąpi okres długotrwałej i ścisłej przyjaźni. Niestety, polityka względem Niemiec zaczęła już parę miesięcy po zakończeniu działań wojennych dzielić oba kraje. Żądania Francji wobec Niemiec są całkowicie zrozumiałe i całkowicie uzasadnione jest bojaźń narodów francuskiego przed możliwością odrodzenia się potęgi wojennej Niemiec, natomiast niezrozumiała stała się dla ludzi prostych, laiknacych wolności i szczerześcia diwizyjna pro-niemiecka niekonsekwentna polityka Anglii. Brak węgla we Francji i w związku z tym niemożność rozwinięcia należącego tempa produkcji skłoniły rząd francuski do żądania węgla z zagłębia Ruhry, żądania włączenia zagłębia Saary w granice ekonomiczne Francji. Przeciwno tym żądaniom Francji wystąpiła jej sojuszniczka Anglia. Oczywiście wywołało to dysonans między nastrojami obu narodów. Przez długie miesiące prasa francuska przepelniona była atakami i ironicznymi uwagami na temat polityki Anglii. Dla opinii francuskiej było jasnym, że socjalistyczny rząd angielski prowadzi na odcinku polityki zagranicznej dalej imperia-listyczną grę reakcyjną, która liczy się tylko z interesem, a nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Na tle tego konfliktu i rozczarowania podróż Leona Bluma do Anglii była dla szerszego ogółu co najmniej niespodzianką. Każdy Francuz zdawał i zdaje sobie sprawę z konieczności przyjaźni tego współzycia z brytyjskim sąsiadem, ale napewno żaden z nich nie chciałby wyrzec się słusznych pretensji w sprawie Niemiec. Leon Blum nawiązał rozmowy na temat nowego paktu przyjaźni i w końcu po długich pertraktacjach pakt ten został podpisany przez ministrów Bevena i Bidault.

Dla Anglii pakt ten niewątpliwie oznacza pewne ustępstwa względem Francji na terenie Niemiec. Z tego punktu widzenia jest to pewien zupełny zdecydowany zwrot w polityce brytyjskiej. Chyba żaden z polityków nie ulega więcej złudzeniu o potęgę impe-

rium Jego Królewskiej Mości. W naszych oczach imperium to rozlatuje się i skłonni jesteśmy przypuszczać, że nie socjalistyczna polityka Partii Pracy, która właśnie okazała się na odcinku polityki zagranicznej wielce sprzeczna z socjalizmem, ale konieczność historyczna i niemożliwość opanowania sytuacji przez Wielką Brytanię wycofując się z Indii i innych krajów. Otóż pakt z Francją dowodzi, że w Wielkiej Brytanii zdano sobie sprawę ze zmniejszonej roli, jaka przypadła jej w udziałzie i aby bronić swojej niezależnej pozycji Anglia gotowa jest związać się z Francją i z nią bronić swojej niezależności politycznej.

Nikt z Anglików nie chce się przyznać do upadku imperium, ale napewno nieźbyt przyjemnie słuchać im, względnie czytać sprawozdań z posiedzeń Kongresu amerykańskiego, na którym ostatnio jeden z senatorów wyraźnie zaproponował włączenie Wielkiej Brytanii w poczet Stanów Zjednoczonych. Tydzień temu Harold J. Las-ki, jeden z przywódców Partii Pracy, ogłosił artykuł w paryskim tygodniku „Gavroche” p.t. „Wobec Ameryki i Anglii musi walczyć o swoją niezależność”. Sam tytuł najlepiej świadczy o nastrojach i problemach macierzy imperium, Niemcy stają się partnerem, na którego nie można liczyć natychmiast, któremu należy najpierw pomóc w odbudowie, aby po latach móc się na nim oprzeć. Ta perspektywa czasu zadecydowała o kierunku polityki Brytyjskiej wobec Niemiec. Francja może być partnerem natychmiastowym i dlatego przyjaźni z nią jest aktualniejsza od wątpliwej przyjaźni z Niemcami. Interesy Niemiec zostały poświęcone dla interesów Francji.

Nie ulega jednak kwestii, że Anglia w miarę możliwości, o ile będzie mogła i o ile będzie wypadało, będzie popierać pewne postulaty Niemiec dla swojej wyraźnej korzyści na przyszłość, dlatego we Francji po smutnych rozczarowaniach ostatnich miesięcy nikt Anglii zbyt nie ufa.

Wszystkie partie Francji twierdzą, iż pakt przyjaźni nie jest bynajmniej

koalicją. Potrzeba bezpieczeństwa światowego i pokoju powszechnego dominuje obecnie wśród nastrojów francuskich.

Przyjaźni francusko-angielska dla Francuzów nie jest bynajmniej wejściem w okrzyszany blok zachodni. Naród Francuski opiera swoją politykę również na pakcie ze Związkiem Sowieckim, jak i niewątpliwie zdąży do bliskiej współpracy z Polską i Czechosłowacją. Opinia publiczna sądzi, że porozumienie Paryża z Londynem to tylko fragment takiego samego porozumienia Londynu z Moskwą i Paryża z Moskwą, jest bowiem głębokie przekonanie wśród Francuzów, że takie trój-przymierze europejskie nie pozwoli już więcej na żadne ponure awantury w rodzaju awantury Mussoliniego i Hitlera.

Francja chce się odbudować i znowu osiągnąć dobrobyt gospodarczy, dlatego każde zacieśnienie współpracy międzynarodowej jest witane w Paryżu z niekłamana radością. Chyba najbardziej entuzjastycznie przyjętym byłoby we Francji zwiastowanie tak jak w czasie wojny wspólnej walki, tak teraz wspólnej budowy świata z wszystkimi wolnymi narodami Europy i świata.

Nazwałem ten artykuł próbą dobrej woli, pisząc bowiem te słowa miałem na myśli konferencję moskiewską w sprawie Niemiec. Ta konferencja miała wykazać na ile szczerze ze strony Anglii jest przyjaźni dla Francji. Jak daleko ta oficjalna przyjaźni pozwoli ministrowi Bevinowi pójść na rękę francuskim żądaniom. Staże się chyba jasne, że jedynie tylko Związek Sowiecki i Francja oprócz innych mniejszych państw, które chyba mają całkowicie prawo do brania udziału w konferencji nad losami Niemiec, na prawdę u-cierpiały przez inwazję hitlerowską i one na skutek swego położenia geograficznego są najbardziej zainteresowane w prawdziwym rozbrojeniu i zdemilitaryzowaniu Niemiec. Zakończenie konferencji pokaże, czy Anglię stać na prawdę na dobrą wolę.

Walerij Osmenda

DZISIEJSZA POEZJA CHŁOPSKA

1.

Kiedyś odbywała się we wsi zabawa i poszedłem się popatrzeć jak młode dziewczęta i chłopcy wywijają przy ciętej muzyce nieprzeżyte polki i oberki. I wówczas przytrafiło się, że na tę potańcówkę pod gołym niebem, na specjalnie do tego celu sporządzonej podłodze, zjawili się parę osób z pobliskiego miasteczka i wywijali wraz z młodzieżą wiejską w morderczym tempie skoczne polki i oberkasy. Po krótkim jednak czasie, ci z miasteczka, znęcając się i poprosili o zagranie foxtrota lub tanga. Zyczenie to sprawiło muzykantom widoczny kłopot, nie chcąc jednak zniechęcać gości zagraли tango.

Tango to jednak, pomimo, że cieszyło się wielką popularnością i bodaj, że było powszechnie znane a przynajmniej jego melodia, przekształciło się znacznie w wykonaniu wsiowych grajków. Na czas trwania tej popularnej w miastach i miasteczkach melodii na deskach pozostali, poruszając się powoli, spętali jak gdyby jednym rytmem, jedynie ci z miasteczka.

Dziewczęta i chłopcy wiejszy przyglądali się z boku drwiąco, zamieniając między sobą niezbyt pochlebne uwagi.

Podczas irwania tanga zarzuciła się dość wyraźnie przede mną wówczas różnica pomiędzy wsią a miastem. To, co było nie widoczne podczas polki i oberki, uwidoczniło się podczas tanga — przegrodę stanowiła obecność form i ich niezrozumienie.

Gdy melodia tanga skończyła się znowu polka. Deski zapelnily się znowu rumianymi dziewczętami i chłopcami, spódniczki rozwiwały się szeroko i słychać było głośnie przypytywanie mocnymi nogami.

Mieszczuchy spoceni opuścili podłogę i przyglądali się w milczeniu z boku. Przeciwnieństwo było tu widoczne. Wiś lekceważyła tango, bo nie widziała w nim tego, co w swych ulubionych polkach i oberkach i oberkach najbardziej ceni — zadowolenia ze zdrowej uciechy aż do utraty tchu. Mieszczuchom zaś zawrotny rytm i latanie w skocznych przypytywanych polkach zdał się ponad ich siły.

— Czy było to skutkiem oddziaływania różnych wartości kulturalnych czy też było to dowodem olbrzymiej energii wsi i znużenia miasta?

Granice podziału stanowiły tutaj formy. Energia i temperament wsi nie mógł się tu zmieścić w powolnych, prostych ruchach, podczas wykonywania których działała jeszcze na człowieka hamująca okliwa i niezrozumiała melodia. Lenistwo mieszcuchów natomiast protestowało przeciwko skocznyemu rytmem podkreślanemu tętnu i energią.

To nasuwało mi myśl wówczas, że wieś nie tak znowu bardzo skłonna jest przyjmować bez zastężeń „wyższe” zdobycze kulturalne albo raczej cywilizacyjne nie dlatego, że trudno je dopasować do uczuć lub charakterów, ale raczej dlatego, że nie można w nich zmieścić żywego, mocnego temperamentu.

2.

Sens powyższego przykładu, przykładu który możemy obserwować bodaj na każdej wsi i nie tylko u nas, wynurza się także bardzo wyraźnie na łamach „Wsi”. Choćby te zarzuty pod adresem dzisiejszych poetów i poezji chłopskiej lub ta troska wyrażana w dyskusji o „niezrozumiałym” na łamach „Wsi”. — Czy nie przemawia tutaj wyraźnie niechęć do panujących w dzisiejszej poezji sprawdzianów i form ulegających ciągłej ewolucji, zdeformowaniom i przekształceniom formalnym, w których wyczuwa raczej niż rozumie siły, które jeśli przenikną do wsi to rozsadać od wewnątrz i przeobrażać całkowicie życie duchowe chłopca? Zdać mi się, że tylko w ten sposób można rozumieć tę troskę.

Widzieliśmy, w przytoczonym przykładzie, że polki i oberki tańczyli zarówno młodzi chłopcy jak i mieszcuchowie, ale tango tańczyli tylko mieszcuchowie — fakt ten jest o tyle ważny, że pozwala sprawdzić te granice, poza które ambicje wsi nie wybiegają.

Znalezienie tych granic, tych form i tych kształtów, poza które wieś nie chce wyjść, przy których z uporem trwa nie chcąc ich rozbudowywać lub rozszerzać, których nie chce zmienić, upoważnia postępowych chłopów do uzmysłowienia sobie, że wieś sama w sobie pielęgnuje pieczęć pewien wycinek kultury narodowej, wspólny całemu narodowi, i dla tego wycinka kultury, zwyczajów i obyczajów wzbrania się świadomie przed przejściem nowszych form i w inny niż zna sposób sprzeciwianych wartości artystycznych. Ta postawa wsi w stosunku do nowych form i wartości artystycznych jest podkreśleniem, że wieś ceni jedynie te formy i kształty, które wyrosły z niej i które są z nią ściśle zespolone.

Ta solidarność głosów w dyskusji o „niezrozumiałym” jest, bądź co bądź, zadziwiająca i dowodzi raczej „zrozumiałym”, czyli znalezienia siebie samej — dla siebie.

Wobec tego zachodzi teraz potrzeba postawienia konkretnego pytania. — Jakże korzyści wypływają dla wsi ze stanowiska, jakie zajmuje w stosunku do dzisiejszej poezji chłopskiej?

Jesteśmy pokoleniem, które dźwiga w sobie zbyt tragiczną treść — lata głodu i niedostatków za czasów „wolności” po majowej, okupacji i parę lat najstraszniejszej wojny, która w rezultacie wprowadziła nas w nowe wymiary, w których panują inne formy i inaczej oceniane są wartości.

— Czy istotnym celem tych nowych wymiarów jest mierzenie starych wartości czy tworzenie nowych?

Najfatalniejszym zarzutem w dyskusji o „niezrozumiałym” jest niczem nie uzasadniony zarzut pod adresem poezji chłopskiej wyrażony w słowach, że jest ona dla wsi niezrozumiała.

Trzeba sobie, bądź co bądź, uzmysłowić, że twórczość poetycka, obojętnie dla wsi czy nie, ażeby nią była musi zawierać w sobie kulturę duchową, wiedzę, inteligencję i tą osobliwą zdolność ukazywania rzeczy niedostrzegalnych, która nazywa się artystem. Zarzut „niezrozumiałym” jest właśnie tą strzałą zatrutą, skierowaną nieświadomie w twórczość poetów chłopskich, o której przecież nie można powiedzieć, że jest bezwartościowa, bo przecież wieś w swych poetach ma najlepszych synów i piewców jej życia i jej piękna, którzy na odcinku kultury godnie ją reprezentują.

— Czyż wobec tego zarzut „niezrozumiałym” nie jest wymierzony przeciwko sobie samemu, przeciwko wsi, która przecież rozumie i zdaje sobie z tego sprawę, że rewolucja społeczna przez reformę rolną i upaństwowienie przemysłu stworzyła jej nowy lepszy byt i otworzyła jej drzwi w wolny świat ku nowemu życiu, w którym nie wystarczy już napewno polka i oberki

3.

Od czasu do czasu jeżdżę pociągami. Podczas takiej jazdy pociągami można dużo zobaczyć, wiele się nauczyć a jeszcze więcej dowiedzieć się o życiu chłopów w różnych stronach kraju. Lwią częścią pasażerów są bowiem chłopcy. Wszyscy oni jeżdżą pociągami „szczęścińskim” (na tej trasie naturalnie) na „zachód” — na Dolny Śląsk, w Poznańskie, na Pomorze. Wszyscy są zdrowi, silni, pomimo niewyspania, i mają wspaniały humor. Popalając „Wolność” lub „Bałtyk” gwarzą o swych gospodarstwach, o swej pracy, o krewnych, o znajomych, o tym co zrobili, co trzeba jeszcze zrobić. Mowa ich jest prosta, szczera, nacechowana pewnością i z zadowoleniem wyczuwa się w niej radość i zadowolenie z życia. Jeden opowiada jak do niedawna nie miał nic, jak biedował i jak doszedł do tego, że dzisiaj ma dwie krowy, chowia świnię i, że na wiosnę myśli kupić konia.

Opowiada o żonie, o dziecku, które chowa się bardzo dobrze. Gdy nagada się wyjmie bułkę i zjada z kielbasą, po czym popija piwem lub lemoniadą kupioną od chłopca półwólcę na kolejowym szlaku.

Drugi opowiada, jak nie chciał się przesiedlić, jak żal mu było opuścić pola i chaty koło Rzeszowa a teraz oto sam jedzie namówić swego przyjaciela, aby się przesiedlił w Pomorskie, bo — powiada — zawsze się człowiek inaczej czuje jak kogoś bliskiego na obok siebie do kogo można i pośmiać się, porozmawiać a oprócz tego — wiadomo — we dwóch zawsze inaczej się czuje.

Inny znowu powiada, że już przeszło rok jak wyjechał na „zachód” i od tego czasu nie zajrzał do swoich. Teraz jedzie odwiedzić starą matkę, która nie chciała jechać z nim, i wiezie jej coś w upominku.

Duży procent podróżnych to kobiety, które jadą z zachodu lub na zachód z mężami i dziećmi. Wszyscy oni rozmawiają poważnie nie wyrzucając słowa na próżno; słowa ich są jedne i wyrażają jakąś ciężkość a często są osobliwie w swoim rodzaju metafora, w której mieści się potężny wysiłek, radość, duma.

Po takiej podróży, naprzykład, czytam z prawdziwym wzruszeniem poezję chłopską a zwłaszcza poetów drukujących we „Wsi” i porównując ją poezję z własnymi przeżyciami i z przeżyciami chłopów z różnych zakątków kraju spostrzegam, że właśnie nowa poezja chłopska składa się z tych pierwiastków, które tak wspaniale błyszczą w pociągu.

W rozmowach tych słyszy się niekiedy dziwne zdania, bardzo często wspaniale skomponowane „kawały” i raduje uszy olbrzymi rozrost języka, w którym wyczuwa się nawet przewartościowanie pewnych pojęć uchodzących za niewzruszone.

Dzieci starsze z terenów zniszczonych będą wysyłane na kolonie, gdzie otrzymają dobre wyżywienie, opiekę i rozrywkę. Poprawią tam swoje zdrowie i nabiorą sił na dalszy okres życia. Dzieci młodsze znajdują przez okres prac żniwnych opiekę w dziecińcach. Do przeprowadzania tej akcji trzeba będzie większej liczby wychowawców. Chcemy, żeby to był ludzie ze wsi. Dlatego organizujemy kursy dla wychowawców i wychowawczyń na koloniach letnich, na które zapraszamy młodzież wiejską i wołamy: **Komu leży na sercu dobro dzieci wiejskich niech się zgłasza na nasze kursy.**

Kursy te trwają 3 do 4 tygodni. Wobec dużego zapotrzebowania będziemy również

Każda rzeczywistość uczy po swojemu. Nasza rzeczywistość uczy nasz lud i tą prawdę widać dzisiaj bardzo dobrze. Zaznacza się ona wyraźnie obaleniem opłotka niedznej kurnej przedwojennej chaty, śmiałym spojrzeniem w przyszłość i pewnością w zamiarach, które w ustach dzisiejszych chłopów są zaledwie pewną określoną przesturzenią czasu.

— Czyż to nie jest ta nowa poezja chłopska? Ten pociąg, nabity ludźmi do ostatniego miejsca, nieoświetlony, z pozabijanymi bardzo często oknami, spóźniający się nawet, ten pociąg biegnie od jednego dużego miasta do drugiego, oddzielonego o setki kilometrów, ale w rzeczywistości ten pociąg łączy dzisiaj dwie wsi — wieś starą z wsią nową, która powstaje wysiłkiem najpracowitszych chłopów. I to jest właśnie poezja, dzisiejsza nowa poezja chłopska.

4.

Wołający o „zrozumiałą” poezję dla wsi wołają o te formy i te kształty, które we wczorajszej wsi, ograniczonej pod każdym względem, były częścią składową folkloru — o regionalne czy miejscowe zasklepienie, które może być tylko wyrazem, rysem charakteru czy temperamentu regionalnego czy miejscowego, ale nigdy nie może dać prawdziwych, na miarę poezji mierzonych, wartości. Folklor bowiem pomimo niezaprzeczonego piękna, uroku, temperamentu i prostych nawiązań, przemawiających wprost do serca, jest bierny w stosunku do teraźniejszości, którą żyjemy, gdyż w zasadzie opiera się o przeszłość. Przeszłość zaś nigdy, nawet przez najlepszego poetę, nie odda nam tych wartości, którymi żyjemy w danej chwili, nie utrwali rytmu naszej pracy w naszej krwi, nie pobudzi naszego umysłu, to co nam dać może to trochę odprężenia i zapomnienia.

Takie stanowisko nie dowodzi bynajmniej abyśmy mieli wyrzec się poezji regionalnej, poezji zrosnietej z środowiskiem czy grupą społeczną, które wytworzyły pewne wzorce artystyczne ludowe ale przeciwnie to stwierdzenie powinno nas uświadomić, że to środowisko czy grupa społeczna ma już wyrobione pojęcie o poezji i nie wolno je pozostawiać jedynie przy tych wzorcach gdyż groziłoby to coraz większym zasklepieniem i odgraniczaniem się od siebie murem odrębności tych właśnie środowisk czy grup społecznych. To jedno. A teraz drugie. Każda wojna, każda rewolucja społeczna, nawet bezkrwawa, niszczy w dużym stopniu te niewidzialne granice środowisk czy grup społecznych, następuje przenikanie wzajemne regionalnych wartości artystycznych w szerszy zasięg co w konsekwencji przynosi rozrost jednych i zanikanie drugich.

Takie wołanie o poezję „zrozumiałą” było by przechodzeniem z jednych form poetyckich do drugich dawno już przeżytych i przebrzmiałych; cóż z tego gdy poezja chłopska oprze się znowu na Polu, jako na poezji, przypuścimy najbardziej „odpowiadającej” „zrozumiałej” lub na wartościach jej odpowiadających.

— Czy to było by dla wsi pożyteczne? Od tamtych wartości poetyckich oddziela nas już walka o wolność, świadoma walka o oblicze polityczne kraju, wieloletnie zmaganie się z najpowszechniejszym wrogiem jakiegoś kiedykolwiek miała ludzkość i poczucie wolności ludowej, która przeobraziła nasze życie.

Ambicją dzisiejszej wsi powinno być podciągnięcie się do poezji dnia dzisiejszego, do poezji czynu a nie spadanie w przeszłość do poezji bierności i zniechęcenia.

Poza tym „niezrozumiałym” nakazuje wprost zaprzaczenie tych przepięknych wartości, które nie tylko poezję chłopską kształtować będą być może przez wieki.

Nasze męczeństwo i walka, lub to, cośmy przeżywali podczas okupacji niemieckiej nie zawsze było dla nas zrozumiałe, nie mamy jednak prawa żądać od poetów chłopskich aby porzucili tą tematykę lub uciekali do jej najistotniejszych wartości po to aby jaknajbardziej uprzystępnili nam swoją poezję. Taka poezja dała by nam stosunkowo nie wiele.

Po kursie praca na koloniach jest płatna. Nie zwlekajcie więc i zgłaszajcie się jak najprędzej do Centrali Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie, ul. Śniadeckich 23, załączając krótki życiorys z zaznaczeniem ukończonej szkoły, lub kursów oraz pracy w organizacjach.

Wiel musi się zdobyć na własnych wychowawców i wychowawczyń na akcję letnią dla dzieci chłopskich.

To musi być ambicją Wiciarzy i Wiciarek i dlatego nie może Was zabraknąć na wszystkich kursach. Liczymy, że się na Was nie zawiedziemy i że w tej potrzebie zdacie egzamin z wyrobienia społecznego.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci

Z dziedziny szkolnictwa rolniczego

Potrzeba dostarczenia rolnictwu wykwalifikowanych pracowników w zakresie szkolnictwa rolniczego, agronomii społecznej i spółdzielczości rolniczej skłoniła W.W.O.R. w Krakowie do otwarcia na terenie tegoż województwa Państwowego Liceum Wiejsk. Gosp. Kob. w Zbylitowskiej Górze, pod Tarnowem.

Liceum to — jedyne tego typu na terenie województwa krakowskiego — pozostające pod odpowiednim kierownictwem tak pod względem pedagogicznym jak i fachowym i posiadające doskonały dobór sił nauczycielskich — daje rękomi należytego przygotowania przyszłych pionierów życia gospodarczego, społecznego i kulturalno-oświatowego wsi polskiej.

Liceum znajduje się w pięknej podgórskiej okolicy w nowoczesnym urządzonego budynku Zakładu wychowawczo - naukowego Zgrom. Najśw. Serca Jezusowego, i jest wyposażone w bogato zaopatrzone pracownie: fizyczną, chemiczną i biologiczną. Zajęcia praktyczne z dziedziny rolnictwa, ogrodnictwa i hodowli odbywają uczennice w doskonale prowadzonym gospodarstwie rolnym Zakładu.

Liceum prowadzi w b. r. szk. I-szą kl. licealną, a chcąc przyjąć z pomocą kandydatkom do przyszłorocznej I-ej kl. licealnej nie posiadającym pełnych kwalifikacji (ukończonych III kl. — dawniej IV-ej) organizuje od 8 marca do 30 czerwca b. r. kurs przygotowawczy dla kandydatek z ukończonym 16-stym rokiem życia.

Na kurs mogą być przyjęte:

a) Uczennice uczęszczające obecnie do kl. III-ej gimn. a mające trudności z opanowaniem języka łacińskiego i obcego i wskutek tego zagrożone nie uzyskaniem promocji.

b) Kandydatki mające ukończoną II-ą kl. gimn. i obecnie nie uczęszczające do żadnej szkoły.

c) Kandydatki z ukończoną I-ą kl. gimn., które przy egzaminie wstępnym na kurs wykazą dostateczny zasób wiadomości i odpowiedni rozwój umysłowy.

Ukończenie tego kursu z wynikiem dodatnim da kandydatkom prawo wstępu do I-ej kl. Państwowego Liceum Wiejsk. Gosp. Kob. w Zbylitowskiej Górze.

Uczennice znajdujące pomieszczenie w internacie szkolnym za zwrotem rzeczywistych kosztów utrzymania.

Nauka na kursie jest bezpłatna.

Uczelnią tą powinna się zainteresować przede wszystkim młodzież żeńska, która pragnie pracować dla lepszej przyszłości wsi polskiej i której zależy na jak najwyższym uzyskaniu państwowego, samodzielnego stanowiska a jest ono zapewnione natychmiast po ukończeniu liceum.

Książki nadesłane

Wydawnictwa „Czytelnika”:

Czesław J. Cenikiewicz — Biała Foka, str. 210.

Jerzy Pytlakowski — Wielki cień, str. 284.

Jarosław Iwaszkiewicz — Wiersze wybrane, str. 239.

Leon Pasternak — Rzeź niewiniątek, str. 127.

Jerzy Zawieyski — Noc Huberta, str. 215.

Stefan Zeromski — Nowele, opowiadania i fragmenty, str. 326.

Stanisław Sreniowski — Dzieje chłopów, str. 156.

Jan Paradowski — Niebo w płomieniach, str. 279.

Stefan Tworowski — Architektura wsi, str. 159.

Wydawnictwa „Książki”:

Jan Dylak — Geografia Ziemi Odzyskanych, str. 307 z mapami.

Jan Dembowski — Nauka radziecka, str. 232.

Irena Merzan — Moja praca w domu dziecka, str. 97.

Władysław Broniewski — Komuna Paryska (z rysunkami Władysława Daszewskiego, nlb.).

Zofia Charszewska — Franek i jego pies, str. 98.

B. A. Keller — Narodziny życia, str. 58.

Po konferencji poczdamskiej, str. 59.

Administracja tyg. „Wieś” w związku z

podwyżką ceny papieru jest zmuszona podnieść cenę numeru do 10 zł. W związku z tym podwyższona została prenumerata,

PRENUMERATA „WSI”:

miesięcznie 40 zł

kwartalnie 120 zł

półrocznie 240 zł

Należność należy wpłacać przekazem pocztowym na konto Nr PKO VII-1080.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rekwizytów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000.

Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2

D-02340

Apel do Wiciarzy i Wiciarek

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci przystępuje do zorganizowania w całym kraju w czasie lata kolonii, półkolonii i dziecińców dla dzieci chłopskich. Pragniemy jak największą ilość dzieci wyciągnąć z ziemianek, bunkrów i klepsko skleconych lepiarek, gdzie im tegoroczna zima i ostatnia powódź srogo dokuczyła i dokonała w ich zdrowiu ogromnego spustoszenia.

Dzieci starsze z terenów zniszczonych będą wysyłane na kolonie, gdzie otrzymają dobre wyżywienie, opiekę i rozrywkę. Poprawią tam swoje zdrowie i nabiorą sił na dalszy okres życia. Dzieci młodsze znajdują przez okres prac żniwnych opiekę w dziecińcach.

Do przeprowadzania tej akcji trzeba będzie większej liczby wychowawców. Chcemy, żeby to był ludzie ze wsi. Dlatego organizujemy kursy dla wychowawców i wychowawczyń na koloniach letnich, na które zapraszamy młodzież wiejską i wołamy: **Komu leży na sercu dobro dzieci wiejskich niech się zgłasza na nasze kursy.**

Kursy te trwają 3 do 4 tygodni. Wobec dużego zapotrzebowania będziemy również

przyjmowali młodzież z ukończoną szkołą powszechną, byle miała dobre chęci. Oczywiście większe możliwości mają wychowankowie i wychowawanki szkół rolniczych, uniwersytetów ludowych oraz wiciarze z wyrobieniem w pracy społecznej. Nauka i utrzymanie na kursach jest bezpłatne.

Po kursie praca na koloniach jest płatna. Nie zwlekajcie więc i zgłaszajcie się jak najprędzej do Centrali Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie, ul. Śniadeckich 23, załączając krótki życiorys z zaznaczeniem ukończonej szkoły, lub kursów oraz pracy w organizacjach.

Wiel musi się zdobyć na własnych wychowawców i wychowawczyń na akcję letnią dla dzieci chłopskich.

To musi być ambicją Wiciarzy i Wiciarek i dlatego nie może Was zabraknąć na wszystkich kursach. Liczymy, że się na Was nie zawiedziemy i że w tej potrzebie zdacie egzamin z wyrobienia społecznego.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci